Wydawnictwa rok VI
Dnia 4 listopada 1928 r.

Nr. 270

Bezpłatny niedzielny dodatek dziennika „Głos prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Paradoksy gospodarcze Rosji Sowieckiej

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 283-62

NIEDYSKRECJE

BŁĘDY POLITYKI C. K. W. P. P. S., uplastycznione w mowie ministra Moraczewskiego na Kongresie P. P. S. (Frakcja Rewolucyjna) w Katowicach, wywołają niewątpliwie głęboki odgłos w szeregach socjalistycznych. Jędrzej Moraczewski odsłonił tragiczne owrzodzenia, powstałe z gangreny, jaka postępuje, niestety, postępuje dzięki zakłamaniu politycznemu naczelnych władz partji. Bakcylem, wnoszącym ową gangrenę, był kazirodczy stosunek Polskiej Partji Socjalistycznej z Narodową Demokracją i jej byłymi sojusznikami w postaci Chadecji i Piasta. Kazirodztwo wydało homunculusa, skarłowaciałego liliputa, z którego C. K. W. chce koniecznie uczynić niezłomnego rycerza. Na imię mu zasadniczy program i zasadnicza, bezwzględna opozycja. W dwuch tych rodzajach zatraciło się widzenie najbardziej wymownego programu, tak wiele znajdującego uznania w odezwie sędziwego Bolesława Limanowskiego i w liście marszałka Daszyńskiego do Kongresu P. P. S. w Sosnowcu. Zapodział się też silny okcent walki z komunizmem, pozostając w dość zresztą słabej formie w deklamacjach rezolucyjnych. Albowiem poza uchwaleniem tych rezolucyj nie widać było ani jednego czynu, świadczącego o urzeczywistnianiu walki z komunizmem; wszak za akt walki z komunizmem nie można chyba uważać strzelaniny na Placu teatralnym 1 maja 1928 r. Dziś poseł Barlicki woła o zaostrzenie opozycji w stosunku do rządu (a więc ma być ona jeszcze bezwzględniejsza), woła o powrót jaknajszybszy do parlamentarnej metody rządzenia i to w tej samej niemal godzinie, w której odsłoniona zostaje cała potworność polityki ostatniego rządu koalicyjnego w stosunku do rzesz pracowniczych, no i, powiedzmy otwarcie, odsłoniony charakter udziału P. P. S. w rządzie, w osobie tegoż samego właśnie p. Barlickiego! Komedja pomyłek, czy komedjantstwo, obliczanie na naiwność i prostotę maluczkich, na wygranie autorytetem wielkiej przeszłości.

* * *

UWERTURA, ZAINTONOWANA PRZEZ PRASĘ LITEWSKĄ, A PO CZĘŚCI I NIEMIECKĄ do polsko-litewskich rokowań w Królewcu, które się wczoraj rozpoczęły, nie usposabia bynajmniej do optymizmu, jeżeli wziąć pod uwagę nastrój, panujący na froncie politycznym p. Waldemarasa. Premjer kowieński, jak widać, jest zupełnie nieczuły na napomnienia całego świata i zamierza nadal trwać w swoim uporze, ograniczając się jedynie, dla ocalenia pozorów, do jałowych rozmów, których wynik sam zgóry przesądził. W tym duchu wypowiada się jego prasa. Jeżeli pod takiemi auspicjami rozpoczynają się pertraktacje królewieckie, trudno oczekiwać po nich poważniejszego rezultatu. Trzeba więc liczyć się z tem, że wystawieni będziemy na nową próbę cierpliwości. Ale czas i logika rozwoju wypadków są naszymi sprzymierzeńcami. Gdyby p. Waldemaras, wbrew zdrowemu rozsądkowi i interesom swego kraju, postanowił dalej zagłębiać się w gęstwinę swej absurdalnej djalektyki, sabotując świadomie uchwałę Ligi Narodów i pokój Europy, musiałaby nastąpić ta chwila, kiedy porzucą go nawet jego fanatyczni zwolennicy na Kowieńszczyźnie. Pragniemy więc przypuszczać, iż wbrew puszczykom prasy litewsko-niemieckiej, nastąpi wkrótce oprzytomnienie miarodajnych czynników kowieńskich, które nie dopuści do powtórzenia się repertuaru litewskiego z poprzednich konferencyj z p. Waldemarasem. W tej nadziei udała się delegacja nasza do Kowna. Sytuacja międzynarodowa Litwy od czasu ostatnich rozmów z p. Waldemarasem o tyle zmieniła się na gorsze dla jego koncepcji bezwzględnego sabotażu pokoju z Polską, że wystąpiły przeciw niemu otwarcie państwa bałtyckie, a przedewszystkiem Łotwa, której polityka dyktatora kowieńskiego dała się szczególnie dotkliwie we znaki, stwarzając sztuczne przeszkody dla jej handlu zewnętrznego, a przez to i rozwoju gospodarczego.

* * *

WYBORY SZWAJCARSKIE są dowodem wzmocnienia prądów umiarkowanych. Jakkolwiek Szwajcarja nie brała bezpośredniego udziału w Wielkiej Wojnie, ogólny kryzys społeczny, polityczny i ekonomiczny odbił się też na wewnętrznej sytuacji Republiki Helweckiej. Znaczne sukcesy wyborcze socjalistów po wojnie pozwalały przypuszczać, że partja robotnicza opanuje w krótkim czasie najwyższe władze Szwajcarji. W obawie przed zwycięstwem socjalistów partje mieszczańskie utworzyły blok wyborczy, po raz pierwszy w dziejach Szwajcarji jednoczący tak wrogie stronnictwa, jak wolnomyśliciele i klerykałów. Dzięki temu „zwartemu frontowi" mieszczaństwa udało się partjom burżuazyjnym utrzymać dotychczasowy stan posiadania, swój nowouzyskany mandat zdobyli natomiast socjaliści na komunistach. Ostatnie więc wybory do parlamentu szwajcarskiego żadnych większych zmian nie przyniosły. Partja socjalistyczna nadal piastować będzie czwartą część mandatów polskich, komuniści zasiadać będą w Izbie w znikomej ilości, stronnictwa zaś umiarkowane, złączone dotąd tylko blokiem technicznym, przeciwstawią wolnomyślnym koalicję chłopsko-klerykalną. Natomiast Izba wyższa — Rada Związkowa, do której poszczególne kantony delegują po dwóch reprezentantów, składać się odtąd będzie tylko z przedstawicieli partyj mieszczańskich, albowiem blok utrącił jedynych dwóch socjalistów w Radzie zasiadających, delegowanych przez kantony Bazylei i Zurychu.

* * *

MŁODZIEŻ ANGIELSKA POPIERA KONSERWATYSTÓW, jak to wykazały ostatnie wybory rektora na uniwersytecie w Glasgow. Kandydatury zwolennika Labour Party oraz reprezentanta liberałów, Herberta Samuela, zyskały znikomą ilość głosów. Walkę natomiast toczyły dwa wielkie ugrupowania: konserwatyści oraz stronnictwo szkockich autonomistów. W rezultacie znikomą większością głosów wybrany został kandykat torysów, premjer Stanley Baldwin. Zwycięstwo swe nowy rektor ma do zawdzięczenia w znacznej mierze głosom młodych dziewcząt - studentek, które ławą głosowały na Baldwina. Fakt ten jest wielce symptomatyczny, albowiem stanowi on poważny prognostyk zbliżających się wyborów powszechnych w Anglji. Młodzież jest zwykle bardziej czuła na wszelkie prądy, nurtujące życie polityczne. Jeśli więc „flappers" z uniwersytetu w Glasgow oddały swe głosy na leadera konserwatyzmu, stanowi to zapewnienie, iż w ten sposób odwdzięczy się konserwatystom przy wyborach państwowych znaczny odłam młodych niewiast za udzielenie im praw wyborczych.

* * *

„ŚCIANA PŁACZU", jedyna pozostałość po murach, okalających zburzoną przez rzymian Świątynię Salomona, była ostatnio terenem sporu religijno-politycznego między ludnością żydowską a arabską. Niewiele ma naród żydowski pamiątek historycznych tej miary, co z potężnych głazów złożony odcinek „muru zachodniego", świątyni, symbolizujący odwieczną tesknotę pozbawionego Ojczyzny ludu za ziemią praojców. Nie dziw więc, iż żydzi otaczają t. zw. „ścianę płaczu", **wyjątkową czcią**. Nacjonaliści arabscy skorzystali z pierwszej nadarzającej się okazji drobnego uchybienia obo-

wiązującym na terenie muru przepisom porządkowym, które miało miejsce wskutek wielkiego przepełniania w uroczyste święto żydowskie sądnego dnia, aby ponownie wszcząć kroki zmierzające do zakazu odprawiania modłów przy murze, który znajduje się na terenie prywatnym i stanowi prywatną własność araba. Opierając się na tym tytule własności oraz na twierdzeniu, iż „mur zachodni" jest świętem miejscem islamu, nacjonaliści arabscy rozpętać pragną nową falę ekscesów antiżydowskich, których widownią była Palestyna przed kilku laty. Od stanowiska władz mandatowych zależy, czy antagonizm arabsko-żydowski będzie się pogłębiał ze szkodą dla rozwoju Palestyny, czy też przyrzeczone w słynnej deklaracji Balfoura prawa żydów do własnej „siedziby narodowej" zostaną uszanowane.

PARADOKSY GOSPODARCZE ROSJI SOWIECKIEJ

Kryzys produkcji rolnej i jego przyczyny. — Plaga bezrobocia. — Industrjalizacja w wielkim stylu, czy bluff polityczny? — Nieunikniony deficyt gospodarczy. — Powrót do wyklętej organizacji kapitalistycznej.

Gorączkowe poszukiwanie przez Związek sowiecki gotowizny na gruncie zagranicznym, zwróciło baczniejszą jeszcze uwagę całego burżuazyjnego świata cywilizowanego na ów paradoksalny eksperyment gospodarczy, jakim jest stosowanie w praktyce haseł czysto teoretycznych marxizmu. Ta niezwykła rewolucja, jaką setce miljonów tkwiących w barbarzyństwie niemal chłopów rosyjskich narzuciła od góry garść przerafinowanych intelektualistów, zaczyna już zwolna owocować. Śpichlerz Europy, jakim przed wojną było potężne imperjum rosyjskie, coraz jest pustszy, a czerwoni carowie Kremla, wyprzedawszy już nagromadzone w ciągu wieków skarby swych białych poprzedników, zaczynają czy raczej pragną tylko wydzierżawiać znienawidzonym przez się kapitalistom burżuazyjnym cały przemysł rządzonego kraju, nie mogąc zeń wycisnąć tyle, ile na normalną gospodarkę potrzeba. Nie od rzeczy będzie też w związku z tem rzucić okiem na całokształt gospodarki państwowej wielkorządców sowieckich, pomijając na razie najzupełniej zarówno stronę polityczną zagadnienia jak i wstrzymując się od wszelkich wniosków ani tembardziej dalej czy bliżej sięgających przewidywań na przyszłość.

Zwano więc, jakeśmy wspomnieli już, Rosję przedwojenną śpichlerzem Europy, a jak nazwa ta była usprawiedliwiona mówi o tem rosyjski eksport zboża, przed wojną w (r. 1912) wynoszący 15 miljonów tonn; ostatnio w r. gosp. 1927/28) eksport ten zmalał do 500.000 t. przy imporcie 200.000 t. co w ostatecznym razie wyniku daje zaledwie 300.000 t., a więc 2% liczb przedwojennych.

Czy eksport ten, będący jedynym niemal równoważnikiem importu produktów przemysłowych, może się zwiększyć w bliższej lub dalszej przyszłości, odpowiedzą nam obecne warunki produkcji rolnej w państwie sowieckiem w zestawieniu z warunkami produkcji tej w Rosji przedwojennej. Rzućmy więc okiem przedewszystkiem na wielką własność. Ta albo została rozparcelowana pomiędzy włościan o nierównie niższym poziomie umysłowym aniżeli poprzedni posiadacze tej własności. — albo też przekształcona została na wielkie majątki doświadczalne, t. zw. „Sowchoz'y", prowadzone przez funkcjonarjuszy państwowych, w stosunku do których przestał działać bodziec osobistego zysku. I w jednym i w drugim wypadku wydajność tych obszarów rolnych obniżyła się znakomicie.

Jeśli zkolei przejdziemy do drobnej własności rolnej, to podkreślić należy rozgoryczenie producenta rolnego, wynikające z wzrostu cen produktów przemysłowych, najzupełniej niewspółmiernego w stosunku do cen produktów rolnych. Do tej poważnej rozpiętości cen dołącza się też fakt, iż jedyny nabywca produkowanego zboża, rząd, wypłaca za nie należność niezawsze gotowizną lecz niejednokrotnie obligacjami pożyczkowemi, bonami lub kwitami, nie mającemi żadnej niemal wartości obiegowej. Na tle tego rozgoryczenia rozwija się niechęć produkowania ponad własne potrzeby przy jednoczesnem zastępowaniu produktów przemysłowych, miejskich, namiastkami własnego wyrobu. Oczywista, pociąga to za sobą dalszą redukcję produkcji rolniej.

Najważniejszym wszakże czynnikiem, w tym właśnie kierunku działającym, jest czynnik psychologiczny. Ubogi włościanin sowiecki, któryby własną pracą i zabiegliwością zaczął się dorabiać, zaliczony zostałby do kategorji średnio - zamożnych t. zw. „średniaków" lub, co gorsza, do kategorji „kułaków", kapitalistycznych wyzyskiwaczy ubogiego ludu wiejskiego. W konsekwencji ściąga to nań represje polityczne i administracyjne, jako na podejrzanego o sprzyjanie kontrrewolucji. Czyż trzeba dodawać, że nikt się na to narażać nie pragnie?

W konsekwencji, przy zmniejszeniu się ogólnego obszaru roli uprawnej do 92%, wydajność produkcji rolnej zmniejszyła się tembardziej, jak świadczą o tem cyfry eksportu zbożowego lub napotykane coraz w prasie doniesienia o głodzie nawet w najbogatszej z prowincyj, na Ukrainie, o zmniejszeniu racji żołnierskiej w wojsku sowieckiem i t. p.

* * *

Jeśli taki jest stan rzeczy na wsi,—nie lepiej bodaj dzieje się w przemyśle sowieckim. Statystyki urzędowe mówią nam o 3.000.000 bezrobotnych, jakich zarejestrowały giełdy pracy i nie są to jednak wszyscy, bo giełdy pracy nie we wszystkich miastach istnieją, a tam, gdzie ich niema, rejestracja, prowadzona przez związki zawodowe, nie jest objęta statystyką państwową. Dodajmy przytem, że rejestracja uwzględnia jedynie bezrobotnych stuprocentowych, wyłączając zatrudnionych przez część dni w tygodniu jak i użytych do robót prowizorycznych.

Cyfra 3.000.000 pozbawionych pracy jest sama przez się olbrzymia, w jakim jednak jest ona stosunku do liczby robotników przemysłowych wogóle — ściśle powiedzieć się nie da. Przypuszczalnie, z dużemi zastrzeżeniami wobec braku pozytywnych danych, mówić można o 50% bezrobotnych.

Przemysł sowiecki wogóle zalecać się może, natomiast śmiałością inicjatywy jego kierowników, energicznie likwidujących drobne przedsiębiorstwa, by na ich miejsce wznosić fabryki kolosy. Jest to niewątpliwie jeden z przejawów racjonalizacji przemysłu, niezawsze może wyzyskujący wszystkie korzyści położenia, a niejednokrotnie,

jak sądzić wolno, wkraczający w dziedzinę bluffu, gdy nowo-wznoszona olbrzymia fabryka umożliwia wyzyskanie tych częściowo zużytych maszyn, pochodzących z fabryk likwidowanych, któreby w poprzednich miejscach produkcji należało uzupełniać sprowadzonemi z zagranicy częściami zamiennemi. Podobnie w nowem, wielkiem przedsiębiorstwie przemysłowem pewne oddziały mogą zaprzestać pracować bez obawy wywarcia tego niekorzystnego wrażenia, jakie wywoływałoby zupełne zawieszenie produkcji w likwidowanych drobnych fabrykach.

Obok tej śmiałości inicjatywy, cechującej kierowników przemysłu sowieckiego, dostrzegamy też jedną z cech niezmiernie ujemnych, a mianowicie wysoki koszt produkcji, niekiedy niepomiernie wyższy od ceny sprzedażnej. Klasycznym w tym kierunku przykładem jest koszt produkcji butelki na użytek państwowego monopolu wódczanego, wynoszący 30 kop. przy cenie sprzedażnej tejże butelki, równającej się 7 kop. Podkreślmy, że nawet w tych warunkach państwo nie odkupuje butelek od konsumentów, nie chcąc likwidować produkcji nawet w tej drobnej stosunkowo gałęzi przemysłu. Objaw ten—owych niepomiernie wysokich kosztów produkcji — łatwo się tłumaczy tem, iż cały bez wyjątku przemysł, pomijając nader leniwego często niefachowego robotnika, pozostaje pod kierunkiem funkcjonarjuszy państwowych, najzupełniej niezainteresowanych w obniżeniu tych kosztów. Pociąga on wszakże za sobą niepomierną drożyznę produktów przemysłowych, zbyt drogich dla konsumenta, jak o tem wspominaliśmy już, mówiąc o wsi.

Drożyzna kosztów produkcji zwiększa też brak kapitału, uniemożliwiający nabywanie udoskonalonych maszyn i narzędzi. W związku z tem podniešćby można, że przed wojną w przemyśle rosyjskim pracował w znacznej bardzo części kapitał zagraniczny na własne ryzyko i pod kierownictwem własnych sił wykwalifikowanych. Tak np. w przemyśle kaukaskim przed r. 1914 kapitał zagraniczny stanowił 85%. Obecnie po t. zw. upaństwowieniu wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych w Związku sowieckim daje się wyczuwać zarówno brak owego kapitału zagranicznego jak i sił fachowych i tym właśnie brakom władze sowieckie starały się już poprzednio zapobiec, udzielając koncernom zagranicznym koncesyj na zakładanie przedsiębiorstw przemysłowych z pewnemi jednak zastrzeżeniami co do wwozu maszyn i wywozu wyprodukowanych artykułów. Gdy jednak wszystkie niemal z owych koncesyj zbankrutowały, obecnie, w lipcu r. b. sfery kierownicze sowietów opracowały nowy dekret koncesyjny, znoszący dotychczasowe ograniczenia i czyniący olbrzymie ustępstwa na rzecz znienawidzonego przez czystych marxistów kapitału.

Dekret ten ma więc na celu ściągnięcie do Rosji kapitału z państw t. zw. burżuazyjnych a przedewszystkiem ze Stanów Zjednoczonych, które ani się nie interesowały ani też nie zapoznały bliżej ze stosunkami panującemi w Z. S. R. R. O takiem właśnie skierowaniu inicjatywy sowieckiej świadczy fakt, iż do północnej Ameryki wyjechał szereg delegacyj Związku, a nadto, że Z. S. R. R. stara się usilnie o ściąganie na swe terytorjum wycieczek amerykańskich. Tem się też tłumaczy, że Sowiety tak ochoczo przystąpiły do podpisania paktu Kelloga i ratyfikowały go nawet.

Czy kapitał zagraniczny zechce skorzystać z tak skwapliwie adresowanych ofert — trudno narazie przesądzać. Faktem jest, że potężny koncern Harrimanna wycofał się z Rosji sowieckiej, tracąc tam narazie 15 miljonów dolarów, jakie Z. S. R. R. ma mu spłacić w ciągu lat 15 z 7% rocznie. Faktem jest również, że cały szereg najpoważniejszych dzienników Zachodu zajął w danej sprawie stanowisko bardzo dla Z. S. R. R. nieprzychylne. W każdym bądź razie, nim kapitał zachodnio-europejski czy amerykański wypowie się w danej sprawie ostatecznie, winienby on zażądać przedewszystkiem ścisłego sprecyzowania, jak stoi kwestja długów przedwojennych carskiej Rosji, a następnie, jakie obecna Rosja sowiecka daćby mogła realne i namacalne gwarancje, iż obietnic swych na przyszłość dotrzyma. Tym twardym nieco warunkom trudnoby się było dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę fatalne np. doświadczenia kapitału niemieckiego, który jak dotąd najpoważniej zaangażował się na terytorjum sowieckiem, a który — jak o tem publicznie mówi się w Niemczech — od czasów Rapallo poniósł straty, sięgające 250.000.000 dolarów.

Cokolwiekbądź jednak jutro przyniesie, stwierdzić należy, iż w danym momencie odwraca się jedna z kart w dziejach Związku sowieckiego, który od haseł czystego marxizmu zdaje się zdecydowanie przechodzić ku organizacji kapitalistycznej, rzekomo przez się najzupełniej i najdokładniej wyklętej.

St. Poraj.

PILNE POTRZEBY, KTÓRYCH SIĘ NIE DOSTRZEGA

Na wiadomość o ożywieniu Polonji amerykańskiej i w naszych ośrodkach pracy w dziedzinie emigracji zaczęło się coś dziać, coś, albowiem dotychczasowe poczynania nie wskazują ani na uświadomienie sobie w umysłowości naszych władz i instytucyj emigracyjnych ani celu, ani planu działania. Fakt wysłania tu czy ówdzie jakiegoś inspektora przez Urząd Emigracyjny dla zbadania stosunków, niczego nie wyjaśnia, ani wypełnia, ani nawet zbliża. Tego rodzaju „badania" bez skonkretyzowania celu i środków dalszej polityki emigracyjnej, pracy wśród emigracji, do niczego doprowadzić nie mogą. Bo zważmy: Panowie inspektorowie zbadają stosunki w poszczególnych terenach emigracji, złożą pracowite i powiedzmy wyczerpujące nawet elaboraty, memorjały, przedstawienia, — złożą je Urzędowi Emigracyjnemu, który dopiero będzie w kłopocie, co z tem wszysetkiem począć, albowiem o programowości i celowości posunięć tego Urzędu nic dotąd wiadomem nie było. Wszak przez szereg lat inspektorowie jeździli, raporty składali, a całość ich nie dała jeszcze Urzędowi „dostatecznego" materjału dla wykreślenia planu pracy, albowiem do tej pory planu takiego nie widzieliśmy. Nie chodzi nam zupełnie o tak zwaną fachowość w tej dziedzinie, ani o tworzenie „fachowców", co zresztą napewno sprawie nie wyszłoby na złe,— ale o ogólną, rozumną i celową — powtarzamy linję wszelkich prac, jakie z tytułu posiadania problemu emigracyjnego, i poważnych już dzisiaj skupień wychodźczych przez państwo powinny być podjęte. A trzeźwy rozsądek, prosty zmysł obserwacyjny, zdolność chwytania rzeczywistości w połączeniu z dobrą wolą i przekonaniem w zasadach i założeniach samej pracy, — mogłyby już do dnia dzisiejszego dać o wiele znaczniejsze efekty, aniżeli te,

jakimi pochlubić się może Urząd Emigracyjny w ciągu kilkuletniej działalności. W naszem bowiem rozumieniu rola Urzędu Emigracyjnego nie kończy się w chwili gdy emigrant opuszcza pokład statku, który go do ziemi obiecanej pod opieką inspektora emigracyjnego transportuje, nie wyczerpuje się nawet w momencie, gdy emigrant otrzymuje pracę.

Zadania tej i pokrewnych instytucyj, zajmujących się emigracją nie wyczerpuje się na pośrednictwie, że się tak wyrazimy — w dostawie go na teren emigracyjny i dostarczenie mu pracy. Winna ona znaleźć sobie daleko szerszą bazę działania. Wszak nie jest tajemnicą, że np. w Nowym Jorku przez szereg lat funkcje wydziału opieki społecznej dla emigrantów wziął na się dobrowolnie „Nowy Świat", który po wielekroć zwracał uwagę na zaniedbanie tych spraw. Od czasu zwłaszcza, gdy „wydział emigracyjny przeniesiono z konsulatu nowojorskiego do poselstwa w Waszyngtonie, co równało się zamarciu tego wydziału, stosunek władz emigracyjnych do spraw emigracji stał się na terenie Stanów Zjednoczonych przynajmniej bardziej niż kompromitujący.

W swoim czasie wyraziliśmy na tem miejscu opinję, że konsulaty w Stanach Zjednoczonych wymagają ludzi o dużem społecznem wyrobieniu i zdolnościach działania społecznego. Jeśli odnieść to można jako gorące życzenie w stosunku do obsady konsulatów, to w stosunku do placówek Urzędu emigracyjnego na tym terenie życzenie to staje się postulatem koniecznym, warunkiem powodzenia i celowości ich powołania.

Obecnie życie wychodźtwa w Stanach Zjednoczonych toczy się niezwykle szybko, przemiany wewnętrzne gruntują się i domagają się wyrazu, który zdaniem naszem — bez wybitnej, a nieprzerwanej współpracy z krajem, współpracy świadomej celu, ujawnić się nie zdoła. W zakresie zaś prac, rysujących się na tym odcinku, nic nie mogą uczynić i nie uczynią oficjalnie przedstawicielstwa Rzeczypospolitej za Oceanem. Pozwolimy sobie wyrazić też wątpliwość, czy w obecnych warunkach do podjęcia ciężaru tej pracy i odpowiedzialności za nią, powołany być winien Urząd Emigracyjny.

Pomimo to, rozwiązanie zagadnienia nie jest ani trudne, ani kosztowne nawet, jeśli się weźmie pod uwagę psychiczną podstawę wychodźtwa. Przypuścić należy, że gdyby odnośne czynniki, w pierwszym rzędzie M. S. Z., Urząd Emigracyjny, T-wo Emigracyjne zechciały z posiadanych materjałów uczynić użytek, dobycie wniosków wskazałoby i metody i środki działania.

Gdy się starannie przegląda polsko-amerykańską prasę, i widzi, jak z chaosu problemów, trudności zjawisk usiłuje ona wybrnąć, jak łamie się w kleszczach i amerykańskich i polskich zagadnień, jak szuka poomacku nieraz odpowiedzi na aktualne, doniosłe i żywe pytania, trudno zrozumieć bezwład i spokojną tylko obserwację tych zmagań z naszej strony.

Nie chcemy przesądzać niczego, pragniemy wskazać tylko, że po dziesiąciu latach niepodległości i bilans stosunku Macierzy do wychodźtwa winien być jaknajstaranniej przeprowadzony, a z rachunku tego pozycje ujemne powinny być usunięte. Ten postulat stawia życie, obowiązek, racja stanu.

* * *

Polonja amerykańska przeżywa obecnie prócz kłopotów zasadniczych, jak sprawa szkolnictwa polskiego, stanowisko kleru i społeczeństwa, domagających się biskupów — Polaków, wielu Kongresów wyborów na Prezydenta Stanów, bilansu i drobne sensacje.

Na zaproszenie Fundacji Kościuszkowskiej bawi w Stanach prof. U. J. Dr. Roman Dyboski, znawca amerykańskiego świata i wygłosi tam w uczelniach angielskich i wśród Polonji szereg odczytów o Polsce. W dumę wzrastają Polacy, słuchając na uczelniach wyższych amerykańskich przekonywujących i gruntownych, a wysoko przez obcych cenionych prelekcyj prof. Dybowskiego.

Inny gość tymczasem sprawia wychodźtwu zato sporo kłopotu. Z ramienia P. P. S. przybył do Ameryki sen. Sokołowski, b. redaktor „Dziennika Ludowego" w Chicago. Aby nie posądzono nas o stronniczość, przytoczymy tu głos z prasy amerykańskiej o przybyciu emisarjusza socjalistycznego przez Polonję.

Oto, co pisze „Dziennik Chicagoski":

„Pan Sokołowski, socjalista, opuścił pismo, opuścił swoich towarzyszów i udał się do Polski, gdzie tamtejsi towarzysze wybrali go senatorem. Dzisiaj przyjeżdża pan senator celem „poinformowania" wychodźtwa, co też w Polsce się dzieje, i zaraz na wstępie w New Jorku opowiedział, że się źle dzieje, a raczej nic się nie zmieniło. Ma być tak samo, jak było przed majowym przewrotem Piłsudskiego. To też ci sami, którzy niegdyś z panem Sokołowskim ręka w rękę pracowali, dziwią mu się niezmiernie i delikatnie, ale stanowczo zalecają, żeby czemprędzej do Polski wyjeżdżał, bo dolarów nie dostanie. A ponieważ znają pana senatora bardzo dobrze i prędzej, niż my, mogą odgadnąć cel jego podróży, przeto łatwo wnosić, że pan Sokołowski widocznie faktycznie przybył po dalary na cele partyjne, na zwalczanie rządu Piłsudskiego przez P. P. S. choć pan senator z tem się otwarcie nie zdradza.

Nie trzeba być piłsudczykiem, aby zganić misię pana Sokołowskiego. Dla nas tutaj będzie rzeczą obojętną, która z partyj w Polsce zdobędzie władzę i zorganizuje swój rząd, bylebyśmy nie potrzebowali wstydzić się przed obcymi za ten rząd. Dla nas każdy rząd polski jest godzien poszanowania jak długo zadawala on braci w Polsce. Nie mamy żadnych własnych programów do narzucenia i nie chcemy posiadać tych programów. Chwała Bogu, mamy dość swoich na miejscu. I każdy partyjny emisarjusz z Polski tak z prawicy jak lewicy winien być przyjęty tak samo, jak obecnie pan senator Sokołowski. Im mniej ich tutaj będzie przyjeżdżało, im mniej nas będą „oświecali" każdy po swojemu, tem lepiej będzie dla wychodźtwa i dla Polski".

Istotnie, przenoszenie na grunt wychodźtwa porachunków politycznych z kraju uznać należy za rzecz wysoce niewłaściwą, a jeśli w nie zaplącze się warcholstwo partyjne, tak dobrze nam znane ze zwyrodniałej strony, — za zbrodnię. P. Sokołowski widocznie liczył na tradycję swoich stosunków w Ameryce, ale ludzie się zmienili, a nastroje jeszcze więcej odbiegły od owych czasów, gdy każdy emisarjusz partji budował sobie w Ameryce rezerwy kasowe dla swego ugrupowania.

L. Tomaszkiewicz.

WYBORY PREZYDJALNE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Twórcy konstytucji Stanów Zjednoczonych Am. Półn., ustanawiając prezydenta na wzór króla angielskiego i gubernatora Stanu*), zamierzali nietylko uczynić go głową egzekutywy, lecz również uniezależnić go od wpływów partyjnych, miał bowiem reprezentować naród jako całość, podobnie jak gubernator rezprezentował ogólne dobro Stanu. Spodziewano się, że dzięki niezależności swego stanowiska od kongresu, będzie skutecznie pracował dla dobra całego narodu. Tę myśl miał m. in. zrealizować wybór prezydenta przez specjalnych wybrańców ludu, elektorów (presidential electors), a nie przez ciało ustawodawcze.

Konstytucja zaleca każdemu Stanowi wybrać elektorów w liczbie równej reprezentantom danego Stanu w obu Izbach Kongresu. Parę tygodni później ci elektorzy zbierają się w każdym Stanie w dniu oznaczonym przez prawo i głosują na piśmie na prezydenta i wiceprezydenta. Wynik głosowania, po zapieczętowaniu, przesyła się do stolicy, gdzie przewodniczący (president) Senatu oblicza, w obecności członków Kongresu, głosy elektorskie. Elektorzy nie mogą być członkami Kongresu, by nie zostawali pod wpływami partyjnemi, ani piastować jakiegokolwiek urzędu federalnego (t. j. mogą być urzędnikami stanowemi). Ten wybór pośredni miał być spokojny i rozważny, mniemano bowiem, że elektorzy, wybrani z powodu swoich zasług, potrafią lepiej ocenić kwalifikacje przyszłego prezydenta, niż masy ludowe.

Jednak myśli twórców konstytucji nie spełniły się: prezydenta obierają masy ludowe, według dyrektyw partyj, głosując bowiem na elektorów, głosuje się na prezydenta, elektorzy zaś nie mają swobody decyzji.

Bardzo pouczające są dzieje wyborów. Kandydatura Washingtona była bezsporną, natomiast wybory jego następcy były już partyjnemi: John Adams („federaliści") i Tomasz Jefferson („republikanie - demokraci"). Czwarta elekcja była regularną walką partyjną i odtąd stale wszelkie usiłowania nadania elektorom swobody głosu zawodziły, ponieważ uważano wybory prezydenta za kwestję tak wielkiej wagi, że jedynie naród mógł i powinien był ją rozstrzygać. Intencja pierwotna podwójnych wyborów poszła w niepamięć. Elektorzy nie mają dziś wielkiego znaczenia.

Metoda wyboru, na zasadzie konstytucji, zależy od ustawodawstwa każdego Stanu. Wybory elektorskie odbywają się w początkach listopada, co się natomiast później dzieje, są to już zwykłe formalności. Partja, wygrywająca wybory w poszczególnym Stanie, obsadza wszystkie stanowiska swoimi zwolennikami, zwyciężonej zaś mniejszości nie bierze się wcale w rachubę.

Wszyscy prawie prezydenci, z wyjątkiem Washingtona, Jamesa Monroe'go i J. Q. Adamsa, byli wybierani jako leaderzy partji głosami partyjnemi i czuli się poniekąd związani programem ludzi, którzy obdarzyli ich władzą. W ten sposób, zamiast ponadpartyjnego prezydenta, Stany Zjednoczone stworzyły system wyboru władzy wykonawczej zbliżony do angielskiego systemu rządów większości partyjnej, z tą znaczną różnicą, że właśnie w Anglji tytularny zwierzchnik państwa, w którego imieniu wykonywa się akty rządowe, stoi zdala od polityki partyjnej. Jednak świadomość tego, że reprezentuje cały naród, działa powściągliwie na prezydenta i zaznaczyć należy, że rzadko działał on jako narzędzie swej partji lub nadużywał swej władzy na niekorzyść swych przeciwników politycznych. Konstytucja nie stawia ograniczeń co do ponownego wyboru, przyjął się jednak zwyczaj nieobierania po raz trzeci tej samej osoby od czasu, gdy Washington odmówił swej zgody na trzecią elekcję. Podobnie się rzecz miała z innymi późniejszymi prezydentami, wybranymi dwukrotnie: Jeffersonem, Madisonem, Monroe'm, Jacksonem, Lincolnem i Grantem.

Na zasadzie konstytucji o wyborze decyduje większość elektorów (od r. 1912 — 529 głosów); w razie rozstrzelenia głosów, wybór należy do Izby Reprezentantów, z pośród trzech, mających za sobą najwięcej głosów elektorskich; w razie niedokonania wyboru przez tę Izbę, prezydentem zostaje wiceprezydent. Niekiedy podczas wyboru powstają wątpliwości, trudne do rozwiązania, jak to np. się stało w r. 1876. W tym roku „demokrata" Tilden uzyskał w 17-u Stanach — 184 głosy elektorskie i brakował mu jeden głos do większości (z 369-ciu), zaś „republikanin" Hayes również w 17-u Stanach — miał zaledwie 163 głosy. Głosy 4-ch Stanów (z ogólnej liczby 38-u) były wątpliwe, ponieważ zarzucano sobie wzajemnie brak kwalifikacyj prawnych elektorów tych Stanów. Dla rozstrzygnięcia tej kwestji, która wywołała wielkie wzburzenie umysłów, tembardziej, że konstytucja nie przewidziała podobnych wypadków, ustanowiono specjalną komisję elektorską. Komisja ta, stanowiąc przypadkowo większość „republikańską" uznała prawność głosów republikańskich we wszystkich 4-ch Stanach, gdzie głosy elektorskie były wątpliwe i w ten sposób Hayes został prezydentem, chociaż prawdopodobniejszym był wybór „demokraty" Tildena.

Na tle wyborów z r. 1876 jasnem się stało niebezpieczeństwo, grożące wyborom, dzięki systemowi elekcji. Technika wyborów dawała pole do nadużyć, ze względu na to, że głosy elektorskie zbierały i obliczały władze stanowe, obsadzone zwykle partyjnie. Dla uregulowania tej kwestji uchwalił Kongres w r. 1887 statut, na zasadzie którego, o legalności wyborów decyduje trybunał każdego Stanu, gdyby zaś ten nie wydał decyzji — rozstrzygają obie Izby Kongresu, w razie różnicy zdań pomiędzy Izbami — głosy Stanu uważa się za stracone. *I. Lewin.*

*) Większość znawców prawa publicznego, widzi w instytucji prezydenta amerykańskiego odblask instytucyj angielskich (Bryce, Jellinek, Barthelemy, Beard i inni).

OKNO NA DALEKI ŚWIAT*)

Sprawy polskiego morza coraz bardziej interesują ogół społeczeństwa. Równolegle do wytężonej akcji rządowej, skierowanej ku jaknajbardziej intensywnemu wy-

*) Henryk Bagiński. Zagadnienie dostępu Polski do morza. Nakładem Związku Obrony Kresów Zachodnich.

korzystaniu morskich brzegów — rozszerza się krąg zainteresowań, zrozumienie wagi dostępu do morza i korzyści stąd płynących — staje się coraz bardziej widoczne.

A o ten dostęp do morza wiedliśmy w ciągu wieków długie nieraz boje, o wylot na świat przelało się wiele polskiej krwi. Wagę własnego morza zrozumiała dostatecznie nasza delegacja pokojowa na kongres wersalski wyznaczona i ona też uparte stoczyć musiała walki, nim ostatecznie przyznano nam w traktacie pokojowym 137-kilometrowy pas wybrzeża na Bałtyckiem morzu.

Zdawałoby się tedy, że skoro i w minionych dawno latach i teraz na świeżo tak wytrwale dążyliśmy do oparcia północno-zachodnich naszych granic o morski brzeg— wykorzystamy go skwapliwie, uczynimy zeń jeden z filarów naszej siły ekonomicznej i wojskowej, że długo tłumioną na tem polu energję w tym właśnie obrócimy kierunku.

Niestety, rzeczywistość tym spodziewanym nurtem nie poszła odrazu. Jak gdyby atawistyczne animozje Pasków i zeszłych dawno pokoleń w nas z nową siłą odżyły — po odzyskaniu morskiego brzegu, nic, albo prawie nic przez pierwsze lata nie uczyniliśmy, by zeń uczynić filar naszej potęgi.

W starej Polsce, w monarchji Piastowskiej, czy w Rzeczypospolitej, nie mieliśmy zrozumienia znaczenia morza dla państwowego bytu. Pojmowały jego wagę jedynie jednostki, jedynie wyjątki: Chrobry, którego jednym z pierwszych militarnych wysiłków było wywalczenie dostępu do morza, Bolesław Krzywousty, tak heroicznie staczający o jego posiadanie boje — świadomie czy podświadomie, jednak znaczenie własnego dostępu do morza rozumieli znakomicie.

Później przez długie wieki, daleko odsunięci zostaliśmy od zielonych fal Bałtyku. Nawet mądry, a przewidujący król, Wielki Kazimierz, raczej energję swoją kieruje na wschód, niż na zachód i północ, a Jagiełło po grunwaldzkim pogromie nie sięga dalej zbrojnemi swemi zastępami, niż do Malborga i pomniejszych, krzyżackich twierdz. Dopiero syn jego Jagiellończyk Kazimierz, w upartej, twardej i długiej wojnie trzynastoletniej wydziera krzyżactwu Pomorze, obejmuje Gdańsk i Puck pod swoją władzę, opiera granice państwa o Bałtyk.

Szło mu to jednak ciężko niezmiernie, buntujące się pod Nieszawą i Chojnicami rycerstwo nie tęskni do morskich fal, ni do murów dalekiego Gdańska.

Jednak i po objęciu morskich granic — długo się jeszcze nie spotyka w Polsce żadnego niemal zrozumienia tego ważnego faktu. Ziemiańskie już rycerstwo, zapobiegliwa szlachta wyzyskuje szlak wodny Wisły ku Gdańskowi, ale ni miasta polskie ni król nie budują floty. Mają jeno Gdańsk, który sam jeden czerpie korzyści z nadmorskich granic Polski.

Dopiero Zygmunt August, Zygmunt III i Władysław IV, zwracają swój wzrok ku morzu. — Pierwszy, by przeciąć szlak wodny, którym ku moskiewskiej Narwi idą Bałtykiem działa i „municja" z zachodu dla Moskwy, obydwaj zaś Wazowie, by od strony samych morskich brzegów zorganizować opór przeciwko szwedzkiej, przeciwko nim i Polsce zwróconej ekspansji.

Powstaje więc za Zygmunta Augusta flota „kaperska", za Wazów wojenna flota polska, z pokaźnej ilości „galleonów" i „pinek" złożona. Jednak nieszczęśliwy zatarg z Duńczykami kładzie kres powstającej polskiej sile morskiej. Flota wojenna zostaje zniszczona, by się powoli dopiero odradzać już za naszych czasów.

O ile tedy flota wojenna ma już swoją kartę w dziejach Polski — o tyle flota handlowa nie rozwinęła się dotychczas nigdy. Miał ją Gdańsk, miał nawet Puck, miały pruskie, elektorskie miasta, jak Królewiec i Elbląg — Polska żadnej pod tym względem nie czyniła dotychczas inicjatywy.

Na szczęście — zmienił się ten stan dużo na lepsze. Od trzech lat coraz bardziej rozwija się inicjatywa polska, z każdym rokiem, z każdym miesiącem nieomal coraz silniej związujemy się z morskim brzegiem, z koniecznym dla życia oknem na świat.

Jak niezmiernie ważne problemy polskiego życia gospodarczego zawiera w sobie ten nasz niewielki skrawek morskiego brzegu — udowadnia płk. inż. Henryk Bagiński, w ostatnio wydanej, bardzo gruntownej i obszernej pracy „Zagadnienie dostępu Polski do morza".

W naszej literaturze, omawiającej kwestje morza i cały splot zagadnień z nim związanych — praca Henryka Bagińskiego jest dotychczas najpoważniejszą pozycją. Na przeszło czterystu stronach tej pracy, autor gruntownie zaznajamia czytelnika z indywidualnością gospodarczą Polski, z granicami kraju od zachodu i północy, by w księdze trzeciej, zatytułowanej „Polska — państwem Bałtyku" jaknajwszechstronniej omówić cały szereg zagadnień, od których rozwiązania zależy pomyślność gospodarcza państwa polskiego.

W księdze czwartej, poświęconej morskiej polityce polskiej — rozdział cały omawia rozbudowę polskiej marynarki handlowej oraz polską politykę portową. Z jasnego przedstawienia rzeczy widać wyraźnie, jak kolosalne zyski wydzieramy obcym przez rozbudowę polskiej floty handlowej, jak mnożące się ostatnio z miesiąca nieomal na miesiąc polskie statki handlowe — wpływają korzystnie na sprawy naszego bilansu.

Nadrabiamy na gwałt to, co przez pierwsze lata po odzyskaniu niepodległości leżało odłogiem, odrabiamy pracę, która przez stulecia całe nie była w Polsce podjęta. Że gorzkich słów, tak jak my dzisiaj nie szczędzimy dawnej Polsce za zlekceważenie morskich spraw — nie posłyszymy od przyszłych pokoleń, z pełną energją zabierając się dzisiaj do wykorzystania morskich brzegów, to w tym i część zasługi pozostanie przy autorze „Zagadnienia dostępu Polski do morza", który pierwszy w sposób gruntowny z zagadnieniami temi nas poznaje.

Dr. Wacław Lipiński.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

LITERATURA A MUZYKA*)

IV.

Muzyka w literaturze polskiej, zmysł muzyczny polskich pisarzy — oto temat odwiecznie poruszany ale zawsze przez historyków literatury — nigdy prawie nie dotknięty przez muzyków, przynajmniej nigdy szerzej z punktu widzenia muzycznego nie opracowany. A chodzi o wnioski, które mogą być ciekawe. Bo odniesienie się naszych literatów do muzyki jest — na tle analogji w innych krajach — bardzo szczególne. Jakoś żaden z naszych *muzyków* nie pokusił się jeszcze o zbadanie zmysłu muzycznego w dziełach wielkich poetów polskich, typów i ewolucji tematów muzycznych w literaturze.

Powieściopisarz, który chętnie wyposaża swych bohaterów darem „wspaniałej improwizacji na fortepianie", nie zdaje sobie sprawy, że muzykalny czytelnik w tę wspaniałość niezawsze zechce uwierzyć. Kiedy niemuzykalny powieściopisarz mówi o wspaniałej — najczęściej zaimprowizowanej — muzyce, czytelnik może po małym szczególe dojść do wniosku, że autor nie rozróżnia muzyki od trzepania dywanów i we „wspaniałość" opisywanej muzyki nie wierzy tylko myśli sobie: a to dopiero musiało być ładne!

Autorowi nie pozostałoby nic innego jak *informować* się, ile razy dotyka kwestji muzycznej. Ale erudycja naprędce zaczerpnięta prześwieca płytkością i zdradza nawet po jakimś czasie swe pochodzenie. Ostrożniej jest nie pisać wcale o muzyce ,ale dziś np. angielski powieściopisarz *nie może stale pomijać* muzyki, bo w oczach czytelnika byłoby to przyznaniem się do poważnego braku duchowego. Dziś, gdzie, zdaniem autora francuskiego, „każdy przyzwoity człowiek jest obeznany z muzyką", niezręczny albo naiwny pogląd na jakąś kwestję muzyczną zdyskredytowałby autora.

Polscy literaci jeszcze stronią od muzyki, która jest im obojętna. Odpowiednio niefortunne bywają też ich ekskursy w dziedzinie muzyki, rzekomo sztuki nie wymagającej pracy mózgu" (Weyssenhoff). Pobieżnie przelecimy tu stosunek dawniejszych autorów polskich do muzyki aby przyjrzeć się tem lepiej aktualnej stronie zagadnienia.

U Mickiewicza muzyka spełnia naogół funkcję romantycznego atrybutu, funkcję „malowniczą" tę samą, jaką spełnia w innych literaturach współczesnych. Ale na tem tle są przecie wyjątki np. mistyczna wiara w „pieśń gminną". Zapewne „pieśń" nie jest w tem znaczeniu tylko czystym symbolem ale jest *także* pieśnią ludową, pieśnią śpiewaną. Mistyczne znaczenie folkloru było wiarą wszystkich poetów z pierwszego okresu romantyzmu. Jeszcze ciekawsza jest u Mickiewicza koncepcja muzyki jako sztuki opisowej, ilustracyjnej.

Wprawdzie dla naszego zagadnienia najciekawszy jest stosunek poetów do muzyki *absolutnej*, jako rzadszy i bardziej duchowy, ale niemniej w poezji naturalniejszą dziedziną będzie muzyka opisowa, „programowa". Może czytelnik zastanowić się jakiej miary muzykami mogli być Jankiel i Wojski, jakiego rodzaju była inteligencja ich słuchaczy, uderzyć go musi w tych koncertach pomysł poety: pomysł opisu najprawdziwszej muzyki programowej (t. j. przedstawiającej jakiś określony program *poetycki)*. Jeżeli pomyślimy, że właśnie w Paryżu na kilka lat przed ukończeniem „Pana Tadeusza" muzyka programowa puszczała w symfonji pierwsze swe pędy, to równoczesność prawie powstania *Symfonji Fantastycznej* Berlioza (1830) z powstaniem „Pana Tadeusza", będzie szczegółem interesującym. Dawno już muzyka zdradzała skłonności opisowe: Kurpiński nawet traktował opisy bitwy jako specjalna *formę muzyczna* (?), — ale opisy te nie wychodziły jeszcze poza uboczną tylko rodzajowość. W muzyce programowej Berlioza, myśl poetycka stała się naczelna zasada, pierwszą racją utworu. I naodwrót nigdy przedtem opis koncertu nie miał tak genialnych dedukcji poetycznych jak w „Panu Tadeuszu". Nie znajdujemy w innych literaturach współczesnych przykładu analogicznego. Natomiast śpiewy balladowe (Alpuhara, śpiew Aldony, chóry z „Dziadów") są muzyką „w przenośni", częstą u współczesnych romantyków francuskich i angielskich.

Blizki stosunek Mickiewicza z Szopenem nie odbił się jakoś w twórczości Mickiewicza, który — szczegół ciekawy — żądał od Szopena napisania opery narodowej. Naodwrót Szopen nawiązuje do „Świtezianki" Mickiewicza w Balladzie F—dur (może jeszcze wyraźniej w Balladzie As-dur!).

Czy Mickiewicz był muzykalny? — W liście pisanym z Lozanny do B. Zaleskiego pisze Mickiewicz o tem, że do pewnego wiersza „ma zamiar muzykę dorobić" i dodaje: „Ma się rozumieć jak będę miał pieniądze, i literaturę i książki porzucę, na wsi osiędę *i będę muzyki komponował*" „Istotnie — objaśnia Bohdan Zaleski — w Petersburgu w spółce z kompozytorem Kozłowskim, Adam ułożył muzykę do mojej dumki o Kosińskim... etc." w W r. 1882 „Echo Muzyczne" (Nr. 16) wydało pieśń „Słowiczku mój" (do słów B. Zaleskiego), której melodję przypisywano Mickiewiczowi. Władysław Mickiewicz (w liście z 27 maja 1888 do Wład. Wczelaczyńskiego) pisze: „Pamiętam, że „Słowiczka" słyszałem śpiewanego w salonie rodziców moich, pamiętam, że Ojciec mój nie pozwalał przepisać tego utworu, potrzebującego według niego przerobienia i dopełnienia". Istnieje przypuszczenie, że kompozytorem tej pieśni jest St. Zan.

O muzykalności Słowackiego wiemy coś niecoś z jego listów do matki, że grywał trochę na fortepianie i nie lubił muzyki Szopena. Zanim go jeszcze poznał mówiono mu, że obaj są (duchowo!) do siebie podobni „jak dwie krople wody" (list do Marji Wodzińskiej). Ale to „podobieństwo" nie przeszło jakoś w realniejsze powinowactwo po osobistem poznaniu się. Wrażenie Słowackiego

*) Oddając artykuł niniejszy do druku Redakcja zawiadamia czytelników, iż pan K. Stromenger dopełni nakreślony tu obraz charakterystyką wpływów muzycznych na tych autorów polskich, którzy blizcy byli muzyce, jak A. Sygietyński. St. Wyspiański. St. Przybyszewski. L. Staff, H. Zbierzchowski. St. Baliński, J. Iwaszkiewicz i w. i.

z jednego wieczoru w Hôtel Lambert, na którym grał Szopen, bynajmniej nie jest entuzjastyczne.

W życiu Szopena i Krasińskiego nicią wspólną jest Delfina Potocka. Czy *Barkarola* Szopena (1846) powstała pod wpływem wstępu do „Przedświtu"? Jak uderzająca analogja, tu i tam wyjście nastrojowe podobne — spokój, przyroda, łódź, harfa — to samo wzbijanie się w potężną ekstazę, barkarola messaniczna! — Ale mało muzyki *muzycznej* jest w poezji Krasińskiego.

Na emigracji wieszcze, Szopen, — krążą w górnych sferach artyzmu. Kiedy równocześnie *w kraju* pojawiają się „Śpiewniki Domowe Moniuszki, J. I. Kraszewski niepokoi się trochę tem, że są one — skomplikowane muzycznie! Domaga się otwarcie, aby Moniuszko pieśni swe „uczynił przystępniejszemi dla ogółu, u nas mało przysposobionego i niechętnie walczącego z trudnościami". Moniuszko był więc za trudny dla publiczności polskiej! Cóż literat mógł pisać dla takiej publiczności o muzyce? Czy mógł dla czytelnika nie dorastającego nawet do zrozumienia pieśni Moniuszki tykać spraw sztuki, która ze swej strony walczyła o prymitywne dopiero zagadnienia artyzmu? która nie wchodziła w krąg zainteresowania przeciętnego obywatela! Sienkiewicz słyszał „Halkę" po raz pierwszy na obchodzie trzydziestolecia swej pracy literackiej...

Jeżeli u Sienkiewicza (Wiry) i Żeromskiego (Pavoncello) sonaty fortpianowe Beethovena, Appassionatę, Księżycową, grywa się na fortepianie i *skrzypcach* (?), to dla muzykalnego czytelnika pomyłka ta jest zastanawiająca. Nie uwierzy w rację jakiejś *przeróbki* tych utworów solowych na dwa instrumenty, taksamo jakby nie uwierzył, że Hamlet recytuje swój monolog z *Ofelją*, mimo, że słowa monolog, dałyby się ostatecznie wypowiedzieć i w dwie osoby... I właśnie czciciele tych powieściopisarzy mogą żałować, że autorom zdarzył się lapsus, zadziwiający czytelnika muzykalnego. Wniosek z tych przykładów wynikający jest: jesteśmy w stadjum, w którem autor nie uważa muzyki za sztukę w sobie zorganizowaną i mającą własne prawa, wreszcie za sztukę wartą informacji przy cytatach z niej.

Do wniosków pesymistycznych stąd, niema powodu, ale czasem serce się kraje, że dzisiejsi literaci nasi nie chcą wyzyskać ogromnego pola dla humorystyki jakie daje nasze życie muzyczne. Te nagminne zachwyty, prędkie orjentacje, przezroczyste związki, tyranja przesądów, hasła przechodzące inflację i bankructwa, to mozolne wygotowywanie się skromnej racji z długich absurdów, to radykalne ścinanie głów obok rzewnego przywiązania! — co za tematy dla komedji, farsy! Co za zbawienny mógłby stąd wyjść wpływ na oryginalne nasze stosunki muzyczne!

Chwilowo literatura nie może jeszcze objąć roli uzdrowiciela, bo sama jest zbyt często — pacjentem. Przygodne niedomagania muzyczne w literaturze są drobnemi tylko szczegółami. Poważniej przedstawia się wypadek, jeżeli powieściopisarz (niemuzykalny) tworzy sobie cały *system* poglądów o muzyce. W jednym z zeszłorocznych numerów miesięcznika warszawskiego „Muzyka" (Nr. 5 1927) Franciszek Brzeziński w artykule p. t. *O Istocie Muzyki* sprecyzował teorję muzyczną Józefa Weyssenhoffa (wypowiedzianą w „Pamiętniku Literackim" Weyssehoffa). Teorja ta streszcza się w następujących punktach: 1) Wszystkie sztuki (literatura, malarstwo, rzeźba, architektura, a nawet taniec) działają na słuchacza i widza sposobami każdej właściwemi, ale przez intelekt, wmawiając wyraźnie w umysły określone myśli, w celu wywołania tego lub owego nastroju, czyli gotowości uczucia. Muzyka naodwrót wywołuje tylko nastrój bez określonego komentarza myślowego. 2) Muzyka niezdolna jest wyrażać myśli, tylko uczucia ludzkie i to bez konkretnego ich objaśnienia — właściwie uczucie najprostsze, które mamy wspólne ze zwierzętami jak gniew, obawę, tęsknotę, pociąg płciowy. 3) Muzyka daje tylko pobudki do myślenia, nie zaś określone myśli jak np. literatura. 4) Muzyka jest mało intelektualna, bardzo zaś pobudzająca do silnych uczuć. Słuchacz (odbiorca) lubuje się w niej leniwie, bez wysiłku umysłowego. 5) Muzyka — w przeciwieństwie do wszystkich innych sztuk pięknych — nie wymaga zasobów intelektu; do tworzenia, jak i do odczuwania muzyki potrzeba bardzo mało ze skarbów inteligencji, które poeta, malarz, rzeźbiarz, architekt, nawet choreograf, kładą do dzieł swoich. 6) Muzyka jest sztuką najdemokratyczniejsza, ponieważ nie potrzeba wysiłku, ani wyrobionego intelektu, aby odczuć przyjemny wpływ muzyki, jest to sztuka ulubiona tłumu, w którym przeważają oczywiście umysły pospolite".

Fr. Brzeziński dzielnie polemizuje z temi poglądami. Nam chodzi nie o zbijanie teorji Jóózefa Weyssenhoffa ale o stwierdzenie jej charakteru *symptomatycznego* wśród literatów. O fakt niedoceniania *piękna* muzycznego, które nie działając pojęciami określonemi (w czem może właśnie jego tajemnicza wyższość!), działa przecież duchowo, etycznie (Beethoven!). Nastrój nie jest ani celem ani istotą muzyki, przyjemność zmysłowa nie jest również istotą wrażenia artystycznego, „leniwy" słuchacz jest zwykle słuchaczem prymitywnym. Muzyka „demokratyczna" „działająca na tłumy i umysły pospolite"! — nie zauważono jeszcze aby (nasze) sfery robotnicze, a nawet urzędnicze, ujawniały gwałtowną potrzebę słuchania kwartetów Beethovena, z drugiej strony pospolitość „Marsyljanki", jej wspaniała zdolność porywania tłumów, nie motywuje jeszcze degradacji całej muzyki do rzędu środków podniecających. Istnieje muzyka wulgarna, istnieje bezmyślna, zmysłowa, ale rozumować na podstawie zjawisk karykaturalnych, jakiejś sztuki, to dowodzi tylko niezrozumienia jej zjawisk artystycznych.

Symptomatem jest, że o tak prymitywne pojęcia toczą się jeszcze dysputy. I dysputy te, konieczne jeszcze, są właśnie wskaźnikiem stadjum naszego zagadnienia w dzisiejszej Polsce.

K. Stromenger.

LAMENT CZŁOWIEKA NIETWÓRCZEGO

I.

Jestem jak drobny punkt na lądów i wód morzu —
A wiem, że mnie tu przysłano, bym jeden świat na innym stworzył.
Wysilam moją myśl, wytężam moje ludzkie oczy —
Chcę ujrzeć wieczną przemianę jak rzeczy w przestrzeni toczy.
Chcę pierwszy odkryć ruch którego jeszcze nikt nie dostrzegł,

Obliczyć jego drogę w mgłach i siły jego ostrze.
Dlaczegóż patrząc nie widziałem jak jabłka krągłe rumiane
Padały z gałęzi na trawę słodyczą słońca wezbrane?

Dlaczego do kuli ziemi tuliły się kule owoców?
Co za siły skręcając księżyc dniem płynnym i stężałą nocą?!
Nie ja wykryłem że słońce ziemię wokoło obraca,
Nie poprawiła starych błędów mojego mózgu praca.
Bezpłodna jest ma myśl gdy patrzę we włókna drzewa:
Nie widzę jak nerwy liści karmi słoneczna ulewa.
Przyszedłem na ten świat i nic nie zbudowałem
A każdy dzień jest bez ceny — noce są czarnym skarbem.
Płynie czas, zmienia się wszystko cicho bez przerwy —
Ja tylko trwam bez ruchu pył nędzny i mizerny.
Nie pojmę nic i mnie nic nie wciąga w swoje wnętrze
Niczego nie burzę by odbudować jaśniejsze, ogromne gorętsze.

II.

Człowiek mój brat potarł o siebie dwa drewna,
Z pomiędzy nich w zsypany chrust wypadła iskra gniewna
I zapłodniła swoim żarem resztki starego drzewa,
A teraz wiatr w niego wieje i drzewo radośnie śpiewa.
A inny człowiek mój brat zwojami drut nawinął
I jeden po drugim wodzi a prądy nieznane płyną: —
Jarzą się w szklanych bańkach wśród długiej mrocznej zimy
Światła, przy lampach jak w słońcu ciała nasze grzejemy.
I oto domy nasze są jasne, wesołe i czyste
Potok światłości z okien w mgławice błądzące chlusta.
Chociaż w nich mieszkam oddawna nie są to moje domy
Mózg mój jest pusty i głuchy a ciało zawsze bezdomne,
Nie jam ich mury kształtował i grzebał się w gruzach pod niemi,
Szedłem w ostatnich szeregach gotowe brać doświadczenie.
Myśli jak wód w oceanie: — jam ptakiem zbłąkanym nad niemi
Biję skrzydłami o fale, niech będą jak one srebrnemi.
Nie wiem nic ponadto co mnie w młodości uczono
Jednaki jestem każdej chwili i zawsze czynię tak samo.
Ja chcę, ja muszę me myśli w ziemię rozpiętą wgarnąć, —
Niech stworzą podobne żytu maleńkie suche ziarno.

Stefan Flukowski.

„WYSPA NA CHMURNEJ PÓŁNOCY“

Ferdynand Goetel: „Wyspa na chmurnej Północy". Nakład Gebethnera i Wolffa.

Talent narratorski Ferdynanda Goetla najdoskonalej i najświetniej wyraża się w opowieściach podróżniczych. Z pod pióra autora „Kar-Chat'u" powstaje jakby nowy rodzaj geografji, w której centralnym punktem opisu jest psychika świata. Normalnie rzecz biorąc, podróżowanie jest odkrywaniem fizykalnych zagadnień życia. Rozszerza wiedzę o tem, co nie jest w naszem sąsiedztwie, wprowadza na arenę aktualności przekroje geologiczne, klimatyczne i społeczne światów, dotąd nieznanych lub mało znanych. Element epickości łączy się z posmakiem niezwykłości. Stąd duże powodzenie i popularność wszelkiej egzotyki narracyjnej.

Ale bywa i inny typ podróżnika. Typ filozofa, dla którego szukanie egzotyzmu jest wyrównywaniem zewnętrznych różnic między ludźmi. Typ najrzadszy, bo wymagający oprócz umiejętności widzenia i obserwowania, jeszcze artystycznej prężności i zdolności do syntetycznych uogólnień.

Dawniej podróżowanie posiadało charakter heroiczny. Bywało zdobywaniem, triumfem lub klęską. Od czasu Byrona stało się synonimem duchowego tułactwa, próbą ucieczki z banalności w nieznane i dlatego wzniosłe, sposobem odrodzenia duchowego, szeregiem pretekstów dla zbolałej psychiki.

Obecna literatura podróżnicza, reprezentowana w doskonałej formie we Francji przez Gide'a, a u nas przez Goetla, służy celom artystycznej unifikacji świata. Geografia, tworzona przez literaturę. Puszcze Turkestańskie, stawiane w kontrastowem sąsiedztwie z pustynią Islandji. Z tych elementów powstaje nowa wiedza o świecie. Może mniej sensacyjna i mniej dokładnym wymierzona metrem, ale głębsza, prawdziwsza, bardziej ludzka, w egzotyzmie więcej egotyczna, dlatego bliższa i mniej kosmopolityczna.

Kto przeczytał ostatnią książkę Goetla o Islandji, zrozumie, dlaczego dopiero Goetel odkrył tę samotną wyspę na chmurnej Północy — najbardziej na północ wysuniętą placówkę Europy — polskiemu czytelnikowi. I prawdopodobnie nietylko polskiemu. Bo autor umiał geografję kraju, jego geologję, klimat i fizykę tego odludzia powiązać z psychiką całego środowiska. U Goetla, jak u każdego rasowego artysty, niema rzeczy ani przedmiotów martwych. Wszystko żyje i każdy element życia jest ogniwem powszechnej świadomości.

Jego Islandja pulsuje rzeczywistością. Tradycja, historja, teraźniejszość wysiłku i przyszłość małego narodu — wszystko to znajduje swój wyraz zarówno w skupieniach ludzkich jak i na najodleglejszych i najbardziej surowych pustkowiach. Niema ani jednego momentu, w którym nie czułoby się pod zastygłą powłoką lawy, dookoła wygasłych lub czynnych kraterów, żywej obecności człowieka.

A człowiek ten ujmowany jest prosto, w sposób arcyludzki. O Islandji wiemy obecnie dzięki Goetlowi więcej niż sami Islandczycy. Znamy obyczaje tych ludzi, ich sposób myślenia, ich troski, zabawy, prace i pomysły, nie dzięki żmudnym i nudnym opisom, ale poprzez jedną obserwację, jeden jakiś skrót, skojarzenie i refleksję.

Aby tak umieć patrzeć, trzeba urodzić się artystą — podróżnikiem. Nie dać się zmylić pozorom egzotyzmu, ale poprzez maski, dotrzeć do psychiki. Goetel posiada prostotę chwytu i to co nazywamy commun sens. Trafia w sedno rzeczy, ujęcia i obserwacji tam, gdzie inny kołuje bez powodzenia nieraz przez kilka rozdziałów. Nazwałbym ten sposób patrzenia, widzeniem sprawiedliwem i słusznem. Może dlatego, że pisarz niczemu się nie dziwi, wszystko, co spotyka uważa za naturalne i swojskie niemal, a z przyrodą obcuje tak, jakby nigdy nie wychylał nosa poza granice Islandji.

A przytem refleksyjność Goetla nie jest pozbawiona akcentów sentymentalnych. Spokojna i opanowana twarz podróżnika mieni się prawdziwą tęczą wzruszeń, kiedy pisze o wiernym bułanku, jednym z najdzielniejszych towarzyszy wyprawy, gdy wspomina przedziwne

piękno białych nocy, lub majestatyczne piekło zwałów lodowych i demoniczną krainę gorących źródeł. Podróż staje się dla niego wtedy punktem wyjścia do rozważań o psychice wszelkiego gatunku i kluczem do rozwiązania zagadki losu ludzkiego.

Dlatego książka Goetla jest także geografją człowieczego stosunku do życia. Pod każdym stopniem szerokości geograficznej, ten gatunek stworzenia, któremu na imię człowiek, reaguje w sposób określony a w najgłębszych swoich pokładach identyczny. Aktywnie i twórczo. Z aktywności tej wynikają niezwykłe i frapujące analogje, które umiejętne spojrzenie autora wiąże w jedną, biologiczną niemal całość. Różnice rasy, języka i intelektu, odmienność tradycji i obyczajowości — wszystko to sprowadza się do wspólnego mianownika, któremu Conrad umiał dać tak potężny wyraz w swoich egzotycznych powieściach.

Ta sama nuta tożsamości człowieka dźwięczy w opowiadaniach Goetla. Zbliża ona najdalsze światy na odległość człowieczego serca i umysłu — przedewszystkiem serca — i każe widzieć w najmniej spodziewanym fragmencie życia — odbicie siebie samego.

Jest w tem zwycięstwo humanizmu, dla którego „nic co jest ludzkie, nie jest obce". Z tego punktu widzenia rozpatrywana książka Goetla o Islandji — pomijając jej wysokie wartości artystyczne — jest jedną zdobyczą więcej w świecie ludzkiej świadomości. Islandja graniczy o miedzę z Polską, a ludzie tego kraju, potomkowie Wikingów i zdobywców, stali się, dzięki talentowi autora, dobrymi znajomymi Polski.

Podróże Goetla są nietylko odkrywaniem, ale i zbliżaniem krajów do siebie. Książka o „Wyspie na chmurnej Północy" jest wyrazem literatury podróżniczej najwyższego typu, bo służy idei artystycznej unifikacji świata.

Emil Breiter.

NA MARGINESIE

Nad czem pracują? K. Iłłakowiczówna wydaje w tych dniach tom poezyj p. t. *Czarodziejskie Szkiełka.* (Pięćdziesiąt wróżb wierszem), ogłaszać będzie kolejno w Tęczy (Poznań) cykl p. t. *Wiersze Chropowate* i przetłomaczyła Don Carlosa Schillera, który ma być grany w przekładzie Iłłakowiczównej w Krakowie oraz w Bydgoszczy. *Pan Alfred Lauterbach* ma ogłosić w tych dniach studjum większe p. t. *Pierścień Sztuki* (z zagadnień historji i teorji sztuki). *Jarosław Iwaszkiewicz* ukończył powieść p. t. *Zmowa mężczyzn,* pracuje nad poezjami p. t. *Księga dnia i Księga Nocy, Kazimierz Andrzej Jaworski* przygotowuje do druku *tom nowel lirycznych, Helena Mniszkówna* oddała do druku *powieść p. t. Powojenni,* przygotowuje zaś drugą jeszcze p. t. *Rodzina.*

* * *

Homeryckie boje toczą się wciąż jeszcze w Wilnie pomiędzy magistratem, radą miejską i Związkiem Zawodowym Literatów Polskich o nagrodę literacką Wilna. Magistrat uchwalił wysokość nagrody dorocznej 2000 złotych, rada miejska zmniejszyła tę pozycję do jednego tysiąca. Związek wileński uznał (całkiem słusznie!) że jednak tysiąc złotych, jako nagroda literacka miasta to już nieco zamało i trąci nieco odczepnem, czy też napiwkiem. Ze swej strony Związek Wileński zaproponował miastu nagrodę dwuletnią zaokrągloną jednak do wysokości 5.000 złotych.

Może zjazd literatów odbywający się obecnie w Wilnie przekona, nakłoni, uświadomi czynniki miejskie co do roli literatury w odrodzonej Ojczyźnie? Może też w związku z tem uświadomieniem ojcowie miasta podwyższą wysokość nagrody.

Rzecz zaprawdę charakterystyczna, jak oba wielkie literackie miasta polskie o wspaniałej tradycji piśmienniczej, Wilno i Krakóów — nieczułe są dziś na te sprawy i raczej odżegnują się od tytułu środowisk literackich.

Wilno okazuje już trochę dobrej woli, — Kraków, mimo, iż w jego radzie miejskiej zasiadają ludzie wychowani na słowie Wyspiańskiego nie chce nic słyszeć o życiu literackiem!

* * *

Wydawnictwo Polskie (R. Wegner) w Poznaniu, rozpoczyna cykl monografij, poświęconych krajoznastwu ziem Rzeczypospolitej. Pierwszym tomem tego cyklu jest Morze i Pomorze napisane przez J. Smoleńskiego, Wydawnictwo ze wszech miar pożyteczne, sporządzone bardzo starannie tak pod względem treści, jak szaty zewnętrznej. Lektura łatwa, płynna, fotografja i odbitki wybrane umiejętnie.

Prac takich w literaturze naszej brak, a dziś, gdy staramy się pobudzić nasz ruch turystyczny, właśnie tego rodzaju typ wydawniczo — opisowy mógłby mieć wielką przyszłość.

Do niedawna jeszcze łatwiej było u nas o opisowe książki z Belgji, Francji, Niemiec, niż o własnym kraju. Może uda się p. Wegnerowi zmienić ten stan rzeczy?

* * *

Wincenty Rzymowski wydał w księgarni Hoesicka zbiór wybranych swych prac p. t. Sygnały Historji. Znakomity publicysta i filozof podzielił swą książkę na trzy części. Pierwszą stanowią rozmyślania na temat Europy, drugą artykuły poświęcone Italji, trzecią — prace i rozważania na temat Polski.

Książka Rzymowskiego jest w naszej obyczajowo-politycznej literaturze zjawiskiem nader rzadkiem: Rzymowski bowiem, — w odróżnieniu od ogółu pisarzy tego typu, — mimo, iż zajmuje się sprawami aktualnemi, sprawami powszedniego dnia, nie przestaje dbać o przystępną a jednak wyszukaną artystycznie formę, o język pełen umiaru a zarazem gorącej bezpośredniości. Co więcej, — autor, stojąc w wartkim strumieniu życia nie uważa za konieczne zapomnieć, iż jest humanistą, myślicielem i historykiem.

Wynika z powyższego odrębny całkiem od przyjętego ogólnie na naszej niwie publicystycznej styl pisarski. Pełen żywości a zarazem historycznej pamięci. Pełen prostoty a zarazem wielkiej finezji i wdzięku.

Książkę tę powinna czytać szeroka publiczność, książka ta bowiem zawiera pierwszorzędne zalety dobrej, mądrej książki. Przedewszystkiem jednak oddać się winni tej lekturze i to bardzo pilnie nasi dziennikarze, publicyści, ze szkołą dziennikarską przy naszej Wolnej Wszechnicy na czele. Nauczą się Sygnałów Historji, że dysku-

sja nie musi być kłótnią, czy bójką, lecz sporem, niejednokrotnie podniosłym, — że „Korespondencja z zagranicy" może być historjozofją tej zagranicy, że potoczne wydarzenie „na mieście", może zawierać w sobie światła dostojnej, tragicznej wielkości.

jkb.

RADOŚĆ I PIĘKNO W POLSKIEJ SZKOLE*)

Otwieram jednę po drugiej dwie duże ładne książki w barwnych okładkach Edmunda Bartłomiejczyka i nie wiem, czemu dać pierwszeństwo, czy radosnym barwnym obrazom, czy bogatemu i wielostronnemu tekstowi. W tych bogatych antologjach jest prawie wszystko, co literatura Polski wyzwolonej ma do dania swemu najmłodszemu pokoleniu. Najświetniejsze nazwiska literatury polskiej są tu reprezentowane radosnem pięknem i uskrzydlającą myślą swej sztuki. Od Mickiewicza, poprzez Sienkiewicza i Wyspiańskiego, aż po Kadena-Bandrowskiego i Wierzyńskiego, nie brak żadnego autora, mającego dla młodzieży życzliwe spojrzenie; piękne słowo i głęboką myśl społeczną. Obok słonecznych obrazów Bartłomiejczyka, słoneczna proza Tetmajera ze Skalnego Podhala, rubensowskie stylizacje życia Kadena-Bandrowskiego, dźwięczne rytmy Or-Ota, intrygujące przygody Sieroszewskiego i t. d. Fotografje przedstawiające piękno polskiego krajobrazu i przebogatej architektury, obrazy polskich miast i polskiej pracy, ilustracje, winiety, inicjały — wszystko składa się na całość, która musi radować nauczając i nauczać radując.

Mimowoli przypominają się te skromniutkie, często niezdarne, czytanki nasze, które uczyły nas czytać i poznawać język ojczysty w sposób ciężki, stateczny, nudny. Autor stał gdzieś wysoko, na katedrze, czy na szczudłach, zaczynał od Jachowicza i tej rózeczki, którą sam Duch Święty dziateczki bić radził, niekiedy sam trzymał taką rózeczkę w garści i sugestjonował dziecko, że musi ono być złe, bo tak jakoś wypadało z doświadczeń panów bakałarzy i z metody wychowawczej. Prócz tego w różnych dzielnicach Polski różni cesarze narzucali się uwadze dziecka polskiego i uczyli je czytać na opisach swego samodzierżawia i żandarmskiego majestatu. Ta tragiczna dzielnicowość znika z nowych czytanek: od górala karpackiego po kaszubę, łowiącego ryby, aby je potem sprzedawać na „fiszmarku", od ślązaka po poleszuka, Polska staje się znowu jedną i niepodzielną także w duszy dziecka polskiego.

Mądra to była myśl pedagogiczna i zacna zarazem, że autorowie omawianej czytanki powłączali do niej takie miłe regjonalizmy jak „Szkubaczki" Maykowskiego, „Na hale" Orkana, „Z puszczy Białowieskiej" Sienkiewicza i t. d. i t. d. Tak samo na podkreślenie zasługuje uwzględnienie w tych czytankach ognisk pracy polskiej i robotnika polskiego, jak np. Kadena-Bandrowskiego „Na kopalni", Juljusza Balickiego,w „W krainie nafty", Juljana Tuwima „Miasto Łódź" i t. p. Zdaje się, że i Stanisław Grabski, który tak ostro wyrzucał naszym szkolnym czytankom, że są przeładowane wierszami, nie miałby nic do zarzucenia tym dwom dobrym książkom, które z takim pietyzmem względem młodego pokolenia polskiego wydała zasłużona firma wydawnicza Imienia Ossolińskich, w tym Lwowie, który już od szeregu wieków wysoko dzierży sztandar polskości.

Obie te wyjątkowo piękne czytanki są symbolem, że z „Kraju lat dziecinnych" dzieci polskie przechodzą jakby z ziemi włoskiej do Polski i mogą powiedzieć słowami nieśmiertelnego Mazurka: „Będziem Polakami". Wszystko, co trzeba poznać w latach młodzieńczych, aby stać się dobrym Polakiem, zostało w tych czytankach z pietyzmem zebrane. Taka naprzykład opowieść Tetmajera „Jak umarł Jakób Zych", to arcydzieło sztuki zamykania w niewielu słowach całego świata. Przeczytałem ją kilka razy sobie i przyjaciołom, przy każdej sposobności cieszyliśmy się w pojedynkę i razem, że młode pokolenie ma na swoje usługi tak piękne czytanki, godne najrzetelniejszego polecenia. Niech rodzice zaryzykują pół godziny czasu, niech poszperają w książkach swoich dzieci, a przekonają się, że takie np. opowieści jaką daje Parandowski o Karolu Miarce, godne są przeczytania przez tych, którzy uczyli się w dawnej szkolle, niestety, z innych czytanek. Dodajmy jeszcze, że obok pięknych barwnych obrazów Edmunda Bartłomiejczyka książka druga, „Będziem Polakami", zawiera kilkadziesiąt fotografij artysty - fotografa Jana Bułhaka, i polećmy obie jak najgoręcej młodym, starszym i starym. Są to naprawdę piękne antologje dla młodzieży od lat dwunastu do siedemdziesięciu, jakby powiedział Mark Twain. Używanie dobrej czytanki nie powinno ograniczać się do szkoły. W naszych zaś warunkach, czytanka będąca jednym z symboli zjednoczenia Polski zasługuje na żywą uwagę nietylko uczni i nauczycieli.

P. Hulka-Laskowski.

*) Juljusz Balicki i Stanisław Maykowski. Kraj lat dziecinnych. Pierwszy rok nauki języka polskiego w szkołach średnich i ogólnokształcących. Str. 392.

Juljusz Balicki i Stanisław Maykowski. Będziem Polakami. Drugi rok nauki języka polskiego w szkołach średnich i gólnokształcących. Str. 485. Wydawnictwa Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich. Lwów 1927 i 1928.

JĘZYK PRAOJCÓW W JĘZYKU PRAWNUKÓW

Echo eksperanckie.

Wybitny poeta kataloński Jaume Gran Casas*) sprawił radosną niespodziankę rosnącemu stale światu esperanckiemu, która niewątpliwie zaważy mocno na przyszłości wszechświatowo-literackiej języka esperanto.

Wydał on w ozdobnym, przeszło 400 stron liczącym tomie „Antologję poezji katalońskiej", poprzedzając ją obszerną rzeczową przedmową, w której z głęboką znajomością tematu oświetla rozwój katalońskiej „gwary", tej raczej „równouprawnionej siostrzycy, niźli córy języka prowansalskich trubadurów", podaje dzieje literatury katalońskiej, poczynając od średniowiecza, wymienia jej twórców, wiąże ich życiorysy z uwagami krytycznemi, studjami politycznemi i przyczynkami lingwistycznemi...

*) Otrzymywał on wielokrotne nagrody na konkursach pieśni.

wydał tę antologję, co zapewne zdziwi niepomiernie polskiego czytelnika, ni mniej, ni więcej, tylko w przekładach pieśni ludowych na język esperanto!

W motto do swoich przekładów ogłasza: „Pragnę uczcić język naszych praojców w języku naszych prawnuków!”. Nastaje on na tem, że pokrewieństwo przedziwne sztucznej mowy „Esperanto” z tą właśnie odroślą naturalną pnia romańskiego — z językiem katalońskim ułatwia poecie możliwość największego zbliżenia przekładu do oryginału i pozwoli światu, nie chcącemu nic wiedzieć o rzekomo zamarłych nazawsze tonach skarbnicy — poezji katalońskiej, rozradować się nigdy niezwiędłem pięknem pieśni jego rodaków, piszących w „zapomnianej gwarze”.

Efekt przeszedł nieomal oczekiwania. Różnojęzyczny świat ozwał się na to dzieło echem entuzjazmu. Można przekonać się o tem, zaczytując się w zebrane na kilkudziesięciu kartach broszury na ten temat opinje o tej księdze, wydane przez wybitnych esperantystów, pochodzących z wielu narodów. Więc składają hołd czynowi poety-uczonego, historyka i lingwisty: „Esperanto” Genewskie, „Herold esperancki” Kolonji, Budapeszteńska „Literatura Mondo”, „Belga Esperantisto” z Antwerpji, „Pola esperantisto” w Warszawie, „Espero Katolicka” Paryskie, tudzież Paryskie „La movado”, utrechcki „Esperantisto”, „Kataluna esperantisti”, „Le monde esperantiste” (Paryż), „International Language” w Londynie, „Itala Esperanta revuo” (S. Vito). Prócz tego dołączają pochwalne głosy recenzyjne wybitne osobistości: prezydent akademji esperanckiej w Paryżu Th. Cart, J. M. Warden z Edynburga, Dr. Dietterle z Lipska, Bulthuis z Haagi, Bünnemen z Hamburga, R. Kreuz z Genewy, G. Facchi z Brescji, J. Berger z Korduny, G. Degenkamp z Utrechtu, Buttler z Londynu, E. Jung ze Strasburga, Edmund Privat z Genewy, R. Banham z Melbourne, Teo Jung z Kolonji, Staveley z Prestsu, E. Osmond z Lon-Jung z Kolonji, E. Osmond z Londynu, E. F. Cense (francuzka, esperantystka) z Warszawy.

Brak nam miejsca, aby zacytować te pochwalne recenzje (niektóre zawierają przeszło setkę wierszy); tedy dla charakterystyki przytaczamy jedynie ważką opinję znanego i u nas b. docenta literatury powszechnej uniwersytetu genewskiego i sekretarza Ligi Narodów Edmunda Privata, jako że napisał on interesujące dzieło o dziejach „Polski porozbiorowej”, w okresie wojennym wielokrotnie wypowiadał się publicznie za zwróceniem naturalnego prawa niepodległości Polsce i podczas ostatniego zjazdu esperantystów w Warszawie stał na czele delegacji cudzoziemskiej, która złożyła wieniec u stóp pomnika Mickiewicza w Warszawie. Pisze on do pana de Casas:

„Nigdy lepiej, nigdy trafniej, niżli w pańskim pięknym kraju, nie powiodło się nikomu zabić owo potwarcze twierdzenie, iż Esperanto znajduje się w stosunku nieprzychylnym do piśmiennictw narodowych. Swoją „Antologją Katalońską” dałeś pan w ręce światu środek pouczenia się o wartości pańskiej literatury narodowej za właściwem pośrednictwem naszego pomocniczego międzynarodowego języka. Pańskie „Zabawy Kwiatowe” wzbogaciły naszą powszechną literaturę: w całym świecie grzeje i błyszczy teraz słońce poezji katalońskiej”.

Powyższa wzmianka domaga się uzupełnienia. Winniśmy zaznaczyć, że Jaume Gran Casas jest nietylko tłomaczem na język esperancki, jest również twórcą — poetą w tym języku. Wydał on dwa zbiory: „Poezje miłosne” (Amaj poemaj r. 1924) i „Nowe poezje miłosne (Novaj amaj poemaj r. 1928), w których nagiął język esperancki do nowych melodyj, podobnie jak to przedtem uczynił nasz Antoni Grabowski, również autor „Antologji” (wszechświatowej poezji) i zwycięski tłomacz na esperanto „Pana Tadeusza”. W miłosnej liryce Casas'a esperanto zyskuje tony „Intermezza” Heinego.

Leo Belmont.

POLONICA ANGLO-AMERICANA

Żeromski po angielsku.

Żeromskiego utwory poza „Rozdrobią nas kruki...”, nie były dotychczas tłumaczone na język angielski. Nie śpieszono się u nas z tem w kraju. Znaleźli się nawet wszak w Polsce krytycy w „Myśli Narodowej” i „Dniu Polskim” ostatnio, oświadczający, że styl i kompozycja tych utworów są dla Zachodu „barbarzyńskie”, że jednem słowem nie sposób jest „eksportować” czy prezentować Żeromskiego elicie europejskiej. Wyręczyła nas Ameryka.

We wrześniu b. r. nakładem A. Knopfa, wydawcy Reymonta w Stanach Zjednoczonych, wyszły „Popioły” p. t. „Ashes” w wydaniu luksusowem. Dzieło Żeromskiego ukazało się na wspaniałym welinowym papierze w oprawie z szarego płótna. Na końcu książki znajduje się notatka o Żeromskim, stwierdzająca, że „Popioły” są jednym z najszlachetniejszych utworów, stworzonych w literaturze nowożytnej, wyrazem genjuszu rasy słowiańskiej.

Przekładu dokonała pani Helena Stankiewicz — Zand z Buffalo urodzona w Polsce i przybyła do Ameryki z rodzicami jako małe dziecko. Po ukończeniu wydziału prawnego uniwersytetu w Buffalo pani Zand studjowała wSorbonie paryskiej. Jest żoną łodzianina, inżyniera Stefana Zanda, pracującego obecnie w Detroit w zakładach Forda. Do pracy przetłumaczenia „Popiołów” zabrała się pani Zand jeszcze za życia Stefana Żeromskiego, który z wielką radością przyjął tę wiadomość i korespondendował w tej sprawie z tłumaczką. Nie doczekał się jednak swoich „Popiołów” w przekładzie angielskim.

Wślad ale nie w ślady.

W ubiegłym tygodniu informował ktoś w „Kurjerze Poznańskim”: „Wślad za niedawno wydaną w Ameryce książką o Polsce p. t. „America and the New Poland” Fishera, ukaże się wkrótce w Londynie nowa książka p. t. „The Re-birth of Poland” pióra d-ra Korostowetza”, książki te diwe są tak odmienne w założeniach swoich i intencjach autorskich, że niepodobna zestawiać ich wobec zbliżonej daty ukazania się bez wyraźnego podkreślenia, że pierwsza ma charakter bardzo życzliwy dla Polski, druga zaś zakrawa miejscami na paszkwil.

Autorem „The Re-birth of Poland” jest syn b. posła rosyjskiego w Teheranie, który przez jakiś czas przebywał w Warszawie jako korespondent „The New Jork Worki”. Korostowetz przybył do Polski pod koniec 1919 r. Od pierwszej chwili pobytu prowadził djarjusz, który posłużył mu za kanwę obecnego dzieła. Dowie się z niego cudzoziemiec, że w czarnych godzinach Polski, gdy armja polska cofała się ku bramom Warszawy, „wszystkie kawiarnie przepełnione były oficerami, paradującymi w strojnych mundurach i wszędzie panowała atmosfera

radości, jak na weselu". (!!!) W dziedzinie statystyki dowodzi Korostowiec, że dane o ludności obcej narodowości w Polsce, podane w „Poland and Peace" hr. Skrzyńskiego są sfałszowane dla zagranicy. „Korytarz pomorski", wyprowadza autora całkowicie z równowagi: „Przy przyjeździe żandarmi polscy odnoszą się brutalnie do obcych" i t. d.

Jednem słowem propaganda antypolska nie drzemie w 10-letnią rocznicę niepodległości. A co my przygotowujemy dla zagranicy na miesiąc listopad b. r. w dziedzinie propagandy prasowej? W Anglji zwłaszcza?

Pamięć o zmarłej tłumaczce poezji polskiej.

Zmarła rok temu w Szwajcarji Elsie Byrde spędziła kilka lat w Polsce i tłumaczyła poezje Mickiewicza, Konopnickiej i Tetmajera. Ukazał się obecnie, przez jej matkę wydany, tomik pośmiertny p. t. „Poems original and translated". Z oryginalnych liryków E. Byrde wzruszyć nas szczególniej może sonet p. t. „Chopin". Niezadługo przed śmiercią tłumaczyła Norwida „Ad leones" i Tetmajera „Księdza Piotra". Śmierć nie pozwoliła jej dokończyć tych przekładów, podobnie jak przekładu „Wiernej rzeki" Żeromskiego.

T. Gleyden.

KRONIKA LITERACKA

Bolszewiccy „Mistrzowie literatury współczesnej"

Leningradzkie wydawnictwo „Academia" kontynuuje cykl „Mistrzów literatury współczesnej". Obecnie ukazał się tom, traktujący o twórczości Iefima Zozuli, mało znanego w Europie „mistrza" z działu humoru sowieckiego, o specyficznym, fantastycznym rodzaju. Sylwetkę literacką Zozuli kreśli aż pięciu krytyków z komisarzem Łunaczarskim na czele.

Majakowski et consortes.

Grupa „Nowy Lef", na której czele stoi Majakowski, wydaje pismo pod powyższą nazwą. A więc zgłosiły akces do grupy tej miasta rosyjskie Charków, Nowosybirsk i Tyflis. Każda z grup posiada własny organ. Zagranicą, oświadcza „Nowy lef", reprezentują jego ideologję następujące pisma: „Krejza fronte" („Lewy front") w Łotwie, „Dźwignia" (nie wychodzi) w Polsce i „Transition" jako pismo francusko-amerykańskie.

Produkcja członków grupy wzmogła się ostatnio. Majakowski wydał tom poezyj p. t. „No. 5". — Nowyje Stichi — Nowe wiersze. Wiersze te nie przyniosły żadnego nowego akcentu i są dowodem, że Majakowski nie ma sił wyrwać się ze skostniałej maniery.

Nowe książki rosyjskie.

W wydaniu „Federacji" ukazała się nowa książka Andrzeja Białego (Andrej Biełyj) p. t. „Wiatr z Kaukazu". Są to wrażenia z podróży, o niezbyt wielkiej wartości artystycznej.

W wydawnictwie „Priboj" ukazał się tom prozy Osipa Mandelstama „Marka egipska". Nakładem Akademji Umiejętności wydany został tom „Pisarze epoki współczesnej", zawierający daty biograficzne i bibljografję około 500 autorów rosyjskich.

W wydawnictwie „Krug" ukazał się tom essayów krytyka Worońskiego. Krytyk nader pesymistycznie ocenia dorobek współczesnego piśmiennictwa rosyjskiego.

Współczesna literatura w Indjach.

W Berlinie bawi obecnie najwybitniejsza pisarka hindusska i przywódczyni ruchu kobiecego p. Naidu, zwana przez rodaków „słowikiem hinduskim". P. Naidu jest autorką kilku zbiorków poezji.

Dziennikarzom berlińskim udzielił „słowik hinduski" wywiadu, w którym m. inn. dowiadujemy się następujących faktów i danych z literatury ojczyzny Tagore'go.

W Indjach niema języka ogólnego-hinduskiego. Jest ogromna ilość języków i narzecz, które przeważnie, mają ze sobą bardzo mało wspólnego. Istnieje więc szereg literatur regjonalnych o małym zasięgu. Piszący w języku angielskim osiągają niejako w ten sposób uniwersalność w Indjach, gdyż angielskie jest łącznikiem między tysiącami narodów i wyznań zamieszkujących olbrzymi kraj. Oczywiście pod angielską formą kryje się najautentyczniejsza treść hinduska myśl specyficzna, oryginalna i twórcza. Przoduje w literaturze hinduskiej liryka, za nią postępuje bogata grupa utworów społeczno-politycznych i mistycznych, przybranych w formę powieści.

Ze względu na pochodzenie, wybiera p. Naidu pisarzy-mahometan z Indyj północnych. Autorzy ci, przeważnie poeci i mistycy, piszą w najpopularniejszym języku Indyj — Urdu. Znajdują się formalnie raczej pod wpływami persko-arabskiemi. Pod względem treści są arcyhindusami i odgrywają wybitną rolę w życiu społecznem.

Drugą wielką grupą, jest Bengalja, reprezentowana w Europie przez Tagorego. *Tagore, oświadcza p. Naidu, uchodzi u nas za pisarza europejskiego, pozostającego w wybitnej łączności z dziełem Shelley'a.* Z bengalskich wymienia p. N. autora hymnu narodowego Indyj współczesnych, Czatardżi i Kamena Roy. Ruch bengalski jest bardzo potężny i może się poszczycić sporym narybkiem młodzieży.

Wielką poczytnością cieszą się w Indjach pisarze rosyjscy; przedewszystkiem Tołstoj i Czechow. Czytany jest również Gorkij. Współczesna literatura sowiecka nie znajduje czytelników ze względu na jej tendencyjno-propagandystyczny charakter.

VARIA

Książka w Szwajcarji.

Według danych statystycznych przedstawia się produkcja książek w Szwajcarji w r. 1927, następująco:

Ukazało się ogółem 1909 dzieł wobec 1823 z roku poprzedniego. Na pierwszem miejscu znajduje się dział naukowy: prawo, ekonomja, polityka, z 310 pozycjami, na drugiem—literatura piękna z 268 pozycjami. Jak wykazuje statystyka, wzrosła wybitnie produkcja książek w ję-

zyku francuskim, przy pewnem zmniejszeniu książek w języku niemieckim.

Ciekawy pomysł wydawcy paryskiego.

Jeden z wydawców paryskich wpadł na ciekawy pomysł. Dla wprowadzenia „w literaturę" nowego, nieznanego autora łączy się jego książkę z książkami dwu innych autorów, z których pierwszy cieszy się powszechnie ugruntowaną sławą, a drugi zdobył już sobie średni rozgłos. Trzy tomy tworzą całość w jednym kartonie. Po raz pierwszy ukaże się taka potrójna książka w następującym składzie: Bourget, Boulanger i Sordac.

„Workers Library Society".

Stowarzyszenie czytelń robotniczych — tak nazywa się organizacja, która powstała niedawno w Anglji pod auspicjami Johna Galsworthy i Hugh Walpole'a. Stowarzyszenie ma na celu zakładanie czytelni robotniczych przy każdej fabryce, kopalni i warsztacie. W ten sposób pragną organizatorzy powiększyć pojemność angielskiego rynku czytelniczego.

Przyznać należy, że pomysł jest ze wszechmiar udany.

Miljon złotych za pamiątki po Goethem.

Odbyła się niedawno w Berlinie licytacja pamiątek po Goethem. W licytacji wziął udział tłum wielbicieli Goethego, przedstawiciele muzeów i archiwów. Licytacja trwała zaledwie 20 minut. Kilka drobniejszych rękopisów, rysunków i drobiazgów pozostałych po największym poecie Niemiec sprzedano za sumę wynoszącą około 1.000.000 złotych. Reprezentanci muzeum narodowego im. Goethego wykupili unikat. Odręczny rysunek Goethego, przedstawiający widok Karlsbadu.

Biografja Jacka Londona.

London znalazł pilnego i świetnego biografa w osobie żony, pani Charmian London. Biografja ta ukaże się w najbliższym czasie w języku niemieckim w nakładzie Universitas Verlag w Berlinie.

Pieśń o Edisonie.

Poeta czeski Viteslav Rezval wydał poemat o Edisonie i w dedykacji pisze: „Edisonowi, który więcej świateł stworzył niż Bóg wulkanów, odkrywcy nowej epoki, bohaterowi XX-go wieku i wszystkich czasów ofiaruje tę małą Odysseę pisarz, europejczyk, czech, Viteslav Rezval".

Krytyka czeska przyjęła tę pieśń o Edisonie entuzjastycznie.

Setne wydanie „Zauberberg'u" Manna.

Rzadki jubileusz święci świetny pisarz niemiecki Tomasz Mann. Jubileusz 100-go wydania powieści „Zauberberg". Wydanie to ukaże się w nakładzie zaledwie 1000 egzemplarzy, ale będzie na najwyższym poziomie sztuki księgarskiej. Każdy egzemplarz zaopatrzony będzie w autograf pisarza.

Włoska grupa „dziesięciu".

We Włoszech powstała nowa grupa poetycka „I Dieci" — dziesięciu, na której czele stanął Marinetti i Bontempelli. Zadaniem grupy jest... odkrycie pisarza nowej Italji — Nad-Dantego. Poetycka grupa „Dziesięciu" pozostaje w kontakcie z grupą „Dwudziestu", składającą się z asów włoskiego przemysłu i finansjery. Marinetti w jednem z przemówień, na bankiecie dał wyraz oczekiwaniom Nad-Dantego.

Italja pragnie również hegemonji w literaturze światowej.

5.000.000.

Głośny autor sensacyjnych powieści Edgar Wallace, którego „twórczość" poszczycić się może rekordem szybkości, płodności i lichoty, informuje, że w przeciągu ostatniego roku ukazało się 5 miljonów tomów jego „dzieł".

Formalny potop, który nie oszczędził niestety i Polski.

Zamordowany poseł-literat.

Jean Galmot, otruty poseł do parlamentu francuskiego z Guany, na większą skalę zakrojony działacz kolonjalny, znany był we Francji również ze swych powieści. Francja straciła dzielnego człowieka.

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

B. A. T. Odpowiemy Paniom na te pytania przypowieścią, niestety prawdziwą. Gdy Wagner, Ryszard Wagner zaczął wprowadzać do Europy swój styl muzyczny, swoje sposoby instrumentacji, rysunek frazy muzycznej i t. d. czcigodni teoretycy współcześni uważali go poprostu za warjata. Jeden z świetnych kontrapunkcistów doby minionej słynny Samuel z Gandawy, otrzymawszy partyturę Spiewaków Norymberskich Wagnera, przestudjował ją i zdając sprawozdanie w gronie muzyków, — jął tyłem siadać w różnych miejscach klawiatury: Oto muzyka — rzekł zgorszonym kompozytorem, jaką zawiera ta partytura. To samo mniej więcej powtarza się, z nastaniem każdego nowego stylu artystycznego. Znakomity muzyk polski Władysław Żeleński otrzymawszy pierwsze kompozycje Debussy'ego ilustrował je swego czasu dość podobnie, jak Samuel. Oto, na chybił trafił uderzał rękami po klawiaturze wykrzykując — oni to nazywają dzisiaj muzyką. Tymczasem dziś, wobec kompozycyj Strawińskiego, Ravela, czy Prokofjewa, Debussy wydaje się nam nieomal konserwatystą. Jakiż sens tych przykładów? Taki, iż szacunek dla sztuki wyraża się nietylko w kultywowaniu starych form, lecz zarazem w życzliwem chętnem opiekowaniu się nowością formy artystycznej.

Ewelina D. Łódź: Napisała Pani poprawny wierszyk o jakimś rycerzu. Nie wiemy, czego Pani chce od tego rycerza. Wiemy z wiersza, że rycerz śpi, z ostatnich zwrotek dowiadujemy się też, że i Pani chce „cudnie śnić". Nasza rada: Śpijcie oboje i nie przeszkadzajcie sobie.

Łukasz Frańciszek R. Toruń: Odpowiadamy szczerze: Wiersz nadesłany nie posiada żadnej wartości poetyckiej.

H. Ch. W-wa: Jak się coś zaczyna od „granatowego szmatu nieba", od „pieśni bogatej w przecudne melodje", od „nimf wodnych", — nie czytamy prawie. Gdyż jest to pospolita gadanina, t. zw. oranżada poetycka, pozbawiona sensu, szczerości i wszelkiego prawdziwego piękna. Żądamy od adeptów sztuki prawdziwego wysiłku.

Elben, Otwock: Szczyt góry rozumie Pan wyłącznie romantycznie: Orły, skrzydła i t. d. Dziś z powodu kolejek zębatych, hoteli stojących na szczytach najwyższych interpre-

tacja poetycka uległa zasadniczej zmianie. Radzimy zastanowić się nad tem poważnie.

Marjan P. W-waa: Nie możemy zajmować czytelników naszych dyskusjami tego rodzaju tak długo, jak może np. cyrk zajmować walką atletów. Oddajemy głos pro, głos contra, na tem spór musi się kończyć. Zwracamy Panu uwagę, że przecież i tak Głos Prawdy jest jedynym w Polsce dziennikem, posiadającym specjalny dodatek literacki, o tak dużych rozmiarach. Może Pan przeniesie swą ofenzywę do Wiadomości Literackich?

Aleksander Ski. W-wa: Czy wierzy nam Pan istotnie? Jeżeli tak, — prosimy przestać pisać, wedle naszego zdania niema Pan żadnych poetyckich zdolności.

Dr. Karol K. Lwów: Bardzo dobrze napisana notatka, nie umieścimy, ponieważ nie zajmujemy się tym działem literatury tak wyczerpująco. Pomieszczalibyśmy zawsze krótkie kronikarskie wiadomości.

K. I. Toruń. Nadesłany wiersz jest parafrazą znanego nam już „**Żebraka**". Uczucie piękne, szczere, forma monotonna i niezaradna. Trzeba wszystko przepracować w sobie od nowa i wyjść wreszcie z tych rymów ubogich. Więcej harmonji, więcej muzyki w wierszu!

Stef. Pom. Lwów: Nie zestroił Pan tych rzeczy jednolicie. Co to znów takiego, — „mrocznej śmierci wabik". Proszę pomyśleć nad tem nieudałem określeniem, mieści się w niem zalążek maniery i dużego niedołęstwa. Albo „mroczna śmierć" jest na serjo, — wtedy nie może być mowy o „wabiku". Albo „wabik" jest na serjo, — wtedy „mroczna śmierć" jest głupstwem!

T. R. Łódź: Pan to nazywa nowelą? Ładne pojęcie o noweli. Nadesłał nam Pan niezgrabny opis. Nie włada Pan jeszcze zdaniem. Rzucić te zdania bez orzeczenia, maglować, tak jest, — maglować duże zdrowe szerokie zdania, póki nie dojdzie się w nich do jakiej takiej pewności i rytmu. Potem będziemy mówili — o nowelach.

M. Zef: Przekład słaby, rzecz drobna, nie możemy skorzystać.

Anna H. Podhajce: Owszem jest tam rytm, jest pewna bezpośredniość, niestety, forma bardzo jeszcze uboga. Nie używać tych wzniosłych słów, pisać prościej. Dla przykładu: Jeżeli Pani w każdym wierszu użyje słowa serce, to zaczniemy sobie wyobrażać, poprostu worek sercowy, tę żywą gumę anatomiczną — i nic więcej. Jeżeli jednak kiedyś rzadko w chwili najstosowniejszej użyje Pani słowa serce — działać będzie jak najpodnioślejsza muzyka. Szukać tej miary w poezji!

Maurycy R. Sopów: Jeden z pańskich wierszy ma być drukowany. Cierpliwości. Pochwała Pokucia bardzo jeszcze naiwna. Niech Pan to przerabia dziesięć razy, niech Pan filtruje ten wiersz, żeby została sama — rzecz właściwa.

Wita, W-wa: Przysyła Pani trzyaktowy dramat. Przeczytamy, ale nie zaraz, raczy Pani zaczekać na odpowiedź dwa, trzy tygodnie.

N. R. Kraków: Owszem listy te drukowaliśmy, o ile nie mają zbyt lokalnego znaczenia. Czytaliśmy te listy po francuzku i sądzimy, że prócz paru miejsc bardziej ogólnych, mają typ potocznej i bardzo prywatnej korespondencji. Lepiej byłoby zatem dokonać wyboru i dopiero drukować?

Toruń-Wisła: O wierszu nie mówmy, gdyż jest zupełnie lichy. Proza: Są to początki nienajgorsze. Daje Pan sobie jako radę ze zdaniem, z przebiegiem opowiadania, szkoda tylko, że samo opowiadanie tak bardzo słabe. Chłopak, kura, obietnica, studnia, babka, — wszystko to możliwe, lecz ze wszystkich względów zainteresowania literackiego — obojętne. Trzeba na przyszłość opowiadanie takie lepiej, głębiej, obmyśleć i lepiej postawić. Temat nie może być zdawkowym, — trzeba to wewnętrznie przeżyć.

Eugenja M. Łódź: Nie, — wiersz nie dobry. Co też za pomysł w dzisiejszych czasach istotnej wielkości, stroić Ojczyznę w dyadem, — cóż dziś znaczy dyadem. Nie można operować jubilerskiemi ozdobami dla wyrażenia wielkości i potęgi Ojczyzny.

Lech. Br. Kraków: Niech Pan jako ten niby prorok, czy wzniosły odczuwacz nie przemawia do miasta, do przyrody, do niczego. Żadnych rojeń, żadnych świątnic, — nic podobnego. Brać się do pracy: Wiedzieć, co się chce napisać, aby i czytelnik mógł wiedzieć. Napisawszy kontrolować wartość utworu. Jakby się było obcym słuchaczem, a nie swoim czułym przyjacielem, czy swoją własną narzeczoną.

Kael. W-wa: Bardzo Panu zależy, by wiersze pańskie były wydrukowane, Prosimy bardzo, — niniejszem drukujemy: „Ostatni z drzewa zleciał liść, na trotuar spadł kamienny, na mokry chodnik zwiędły liść, pożółkły liść jesienny". Wydrukowaliśmy tylko jedną zwrotkę, — nie widzimy jednak żadnego nieszczęścia w tem, że liść upadł na trotuar mokry. Nie można znów poetyckiej czułości posuwać tak daleko, by liście jesienne zawijać w pieluchy.

A. B. Dąbrowa Górnicza: Pisarze nie mogą zabrać się do takiej pracy, muszą bowiem, wkońcu nawet pisarze, z czegoś żyć. Jest to praca wymagająca wielkiego nakładu czasu. Co do naszych uwag, oraz, że są słuszne: Bardzo wielu panów pisze to do nas prywatnie, nieraz z entuzjazmem. Niewielu jednak z Was ma odwagę wystąpienia na szersze forum. Jest to ostatecznie wasza sprawa i powinniście w tej sprawie nauczania języka ojczystego wykazywać konieczną odwagę. Jeżeli jej nie macie, — któż ma za Was sprawy te wyraźnie powiedzieć.

Demon. W-wa: Pańskie wiersze są słabe. Dlaczego? Gdyż są bardzo banalne. Podoba się Panu to wszystko, co się podobało pańskim poprzednikom. Podoba się to Panu właśnie w tej formie w jakiej podobało się pańskim poprzednikom. A więc — brak oryginalności, brak własnego stanowiska, własnego sposobu patrzenia na rzeczy!!

Odomita: Przed przeczytaniem nie, ale po przeczytaniu rzuciliśmy utwór pański do kosza i to, z całkiem czystem sumieniem. Czy wie Pan? Rzecz ciekawa: Czytając utwór Pana nie wiedzieliśmy do końca o co w nim chodzi? Jedno zdanie po drugiem jest tak złe, tak niedbale, niejasno sklecone, że po przez gąszcz tego chaosu stylistycznego trudno dobrnąć do sensu opowiadania.

Przestroga dla Sz. Korespondentów naszych, opiewających czyny Marszałka Piłsudskiego, oraz dziesięciolecie Niepodległości: Pozwalamy sobie przypomnieć Panom, iż wielki człowiek wymaga wielkiego artystycznego ujęcia poetyckiego. Nie można wyrażać wielkości w sposób mały, niedołężny artystycznie. Nie można pisać o Ojczyźnie tak niedołężnie, jakby to był list jakiś do naszej kochanej cioci, czy babci. Powiedzieć — Ojczyzna, ale powiedzieć to źle, pospolicie w sensie słowa i myśli i obrazu, — to znaczy oszukać kult Ojczyzny. Powiedzieć, — Piłsudski, hałasując tylko przy tem nieskładnemi słowami, — to znaczy pomniejszać wielkość znakomitego człowieka.

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka", N.-Świat 22. Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem.